Redakcya, Administracya i Drukarnia: Lwów, ulica Sokoła l. 4.
Adres dla telegr.: „Sera“ Lwów.

Telefon Redakcyi Nr. 159.
Telefon Administracyi 1201.

GAZETA WIECZORNA

wychodzi dwa razy dziennie: o godzinie 6-tej rano („Gazeta Poranna“) i o godzinie 2 popołudniu.

Ceny prenumeraty: Abonament miesięczny we Lwowie za oba wydania gazety 2 korony.

Za codzienną dwukrotną dostawę do domu dopłaca się 60 halerzy.

Z przesyłką pocztową w kraju i monarchii:

miesięcznie	2 K 50 h.	z dwukrotną	3 K — h.
kwartalnie	7 „ 50 „	wysyłką	9 „ — „
rocznie	30 „ — „	pocztową	36 „ — „

W Niemczech miesięcznie . . . . . 4 K — h
W innych państwach Zw. p. miesięcznie 5 „ — „

Ceny ogłoszeń: Za wiersz jednoszpaltowy petitowy lub jego miejsce 24 hal. Nadesłane za wiersz petitowy lub jego miejsce 80 hal. Do kronice wiersz 2 kor. Nekrologia za wiersz petitowy 60 hal. — Drobne ogłoszenia p 3 hal. za wyraz, wyrazy tłustemi czcionkami liczą się podwójnie. Numer pojedynczy we Lwowie 4 hal., na prowincyi 8 hal.

Nr. 1058. Lwów, wtorek dnia 24. grudnia 1912. Rok II

TREŚĆ NUMERU:

Artykuły i prace literackie:

Utwory poetyckie:

W NOC WIGILIJNĄ.

Wieczór wigilijny jest jakby doroczną uroczystą rewią dodatnich ludzkich uczuć. Na ile tylko ciepła uczuciowego każdego stać, na tyle w ten wieczór sie zdobywa — a ogólny nastrój narzuca mu to *summum* uczuciowego napięcia nawet wbrew jego woli.

Nieoddzielnym od życia ludzkiego dramatem, ale zarazem życia tego pięknem jest, że w najwyższe uczucia miłości, w najczulsze uściski wciska się zawsze intruz Smutek wraz z siostrą Tęsknotą. Im cieplej bije serce ku drugim, im szerzej otwierają się nam ramiona — tem ciężej, jakby z ołowiu, na dno duszy spadają niewidzialne łzy, tem żywiej wkoło nas krąży korowód widziadeł — straconego szczęścia, niezisszczonych marzeń, próżnych wysiłków, popełnionych win, chwil, co, raz przeżyte, nigdy nie wracają, i tych drogich postaci, co były wśród nas tak, jakby w nas samych... były... a odeszły na zawsze.

Ile zaś dramatu jest w życiu każdej ludzkiej jednostki, ile różnych dramatów na wszelakich jednostkach cięży — tyle, albo i więcej, dramatu skupiło się w duszy zbiorowej polskiego narodu, która przez to nad wyraz piękna jest, ale też i nad wyraz nieszczęśliwa.

W każdy wieczór wigilijny z żywego źródła serc polskich, po całym świecie rozsianych, bije potężna fala bezmiernej tęsknoty do lepszej doli narodowej. Ramiona, przez rok cały wytężone w żmudnej szarej pracy nad lepszą narodową przyszłością, w pracy od podziemi i fundamentów, w wieczór wigilijny nieraz rozpacznie opadają — bo ciągle jeszcze napróżno nasłuchujemy wielkiego głosu wybawienia wśród nocnej ciszy i nie chce zabłysnąć nam na niebie gwiazda, coby nas niezawodnie powieść miała ku Wolności.

Zaś w ten dzisiejszy wieczór wigilijny, niestety, nie będzie nam lepiej, ale... gorzej. Oto nasz polski dramat od miesięcy już znowu koncentrował się w tragedyę. Oto nad głowami naszemi załopotały tragicznemi skrzydły boginie zwycięstwa — Nike. Wszystkie one były w żałobnych szatach — wszystkie były Nike z pod Cheronei, Nike Napoleonidów — ale były nad nami, a miano ich było... Nike!

Zdawało się — byliśmy przekonani — że będziemy mogli wojennym czynem dowieść światu swego niegasnącego nigdy życia, swej szlachetności, swego piękna. I byliśmy do tego czynu gotowi, acz nie mogliśmy po nim żadną ludzką miarą spodziewać się doraźnej poprawy narodowego bytu choć w części, choć na ograniczonej ziem polskich przestrzeni.

Chcieliśmy tylko znowu, po raz czwarty od rozbiorów, imię Polski krwią własną wypisać w dziejach — by znów świadczyło światu o krzywdzie naszej a nie utonęło bezpowrotnie w morzu światowego zapomnienia.

Bujnie odżyło w nas pragnienie najwyższej ofiary — dla najwyższego idealnego dobra. Pragnienie to oczyściło serca nasze, podniosło naszego ducha, uszlachetniło naszą dłoń, poczerniałą od codziennej ziemnej pracy.

Oto zbliżająca się ta wielka chwila znów się od nas oddala. Coraz dalej znów krążą skrzydlate Nike z pod Cheronei, Nike Napoleonidów, co nas okrzykiem bojowym ze snu zbudziły i pragnąć kazały śmierci bohaterskiej — śmierci za Ojczyznę.

Nie widząc przed sobą Niepodległości, ujrzeliśmy po długich latach możność nowej o tę Niepodległość walki — walki śmiertelnej a bez zwycięstwa.

I coraz goręcej tego tak tragicznego boju pragnęliśmy — gdy oto dziś w mgłę się rozwiewają marzenia nasze o nowem męczeństwie!

Któż obcy pojąć zdoła ten ogromny, ten wielokrotny tragizm, co z tego wszystkiego bije, a cięży nad nami wiecznie, jak nieodparta zmora!

Zdawało się nam wszystkim przez dłuższe lata, że Polska wyszła z polityki męczeństwa, a wstąpiła na drogę realizmu rozwojowego — a oto wszyscy, cośmy tak myśleli i czuli, na widok pierwszych wron i kruków, co krążyć poczęły nad polskiemi ziemiami, jako zapowiedź wojny między zaborcami, jak czarem odmienieni, wróciliśmy do wiary romantycznych przodków w najczystszem jej wydaniu. Któż obcy zdolny pojąć to, co na lat kilkanaście temu tak jasno przeczuł Wyspiański — a oto słowo stało się ciałem i w ostatnich miesiącach ucieleśniła się w nas tragiczna posągowość Nocy listopadowej, ucieleśnił się zabójczo piękny tekst „Warszawianki“, ucieleśniło się ekstatyczne zbrojne oczekiwanie z „Wesela“.

Tragedyą naszą tego wigilijnego wieczoru jest, że już oddala się od nas blizka, zdawało się możność stworzenia nowej polskiej tragedyi — oddala się od nas znowu wielka scena dziejów. Jakaż w tem odsunięciu od nas tragedyi upragnionej tragedya — jakie fatum!

Zanadtośmy bowiem wielcy i szlachetni, byśmy nie mieli na równi z innymi narodami

wznosić monumentów na Via Appia dziejów, a nie mogąc dziś budować łuków tryumfalnych, znaczyć musimy drogę nagrobkami.... w tej jednak niezłomnej wierze, że każda krew, za Polskę przelana, nowym jest dokumentem, za nas świadczącym, w stuletnim procesie naszym o prawo samodzielnego bytu przed trybunałem sprawiedliwości dziejowej, a przytem nowym jest posiewem coraz większej siły, nowym tedy zadatkiem coraz bliższego wyzwolenia. Z krwi, na nowo przelanej, mocy większej nabiera. *Ex ossibus ultor*:

* * *

Czemże mają się zakończyć dla nas te ponure rozmyślania wigilijne? Cóż przeciwstawić temu fatum, co nie pozwala nam nawet na tragedyę, która nam stała się potrzebą serca i przykazaniem wielkiej linii historycznej, po której nam iść wypada ku wyzwoleniu.

Albośmy żywi, albo już umarli,—mortui czy morituri — wszystko jedno. Jeśliśmy umarli, to roztopmy się w bezdennym smutku, przemieńmy się w wierzbę płaczącą a bezlistną, co w długą noc jesienną swe czarne gałęzie wyciąga ku niebu o zlitowanie. Albo jeśliśmy umarli, rozpacz niech będzie naszą przewodniczką i każe nam uczynić coś tak szalonego, coś tak i na zewnątrz, dla oczu świata, beznadziejnego, coś przytem w ostatecznym wyrazie tak nikłego i bezsilnego, że szaleństwo nasze tracąc wszelkie cechy, czy pozory bodaj trochę rozumnego czynu, światu nie wyda się pięknem ale głupiem i nie wzbudzi dla nas podziwu ale politowanie.

Albo jeśliśmy umarli więc pod obuchem fatum—złóżmy ręce, przyjmijmy islam i oddając się bezmyślnemu kefowi, czekajmy fatalistycznie, czy fatum nas dokona.

Albo jesteśmy żywi. Jeśli więc choć „ciało chore, duch jak ognia słup“ — bądźmy, jak prawdziwi żołnierze, gotowi nietylko do bohaterstw Somosierry, lecz także ochotni do długiego i mozolnego pochodu przez całą niemal Europę, ochotni choćby do powrotu z pod Moskwy, wśród największych trudów, mrozów i głodów....

Najlepszym wzorem może być nam ten wróg co dla utrzymania tężyzny bezzwłocznie po Wörth, Gravelotte i po Sedanie miasto wojskom dać spocząć, wyprowadzał je na place musztry.

Na fatum jest broń jedyna: nie poddawać się mu, walczyć z niem do ostatka, ale nie walczyć dorywczo i rozpacznie, lecz straszne jego oblicze przesłonić cieniem wytrwałości w pracy, pracy od podstaw, wytrwałości tak spokojnej, zimnej i ogromnej, by robiła wrażenie wieczności.

Znowu nam tedy chwycić się nieustającej pracy nad wzmożeniem wszelakich dóbr narodowych, idealnych i materyalnych, nad budzeniem samowiedzy narodowej we wszelkich zakątkach polskiej ziemi, nad kojarzeniem sił, niestety dziś tak bardzo jeszcze słabych. Przytem — ani na chwilę nie zapomnieć o sposobieniu się takiem, by wielka chwila, co obecnie mija, gdyby kiedykolwiek wróciła, nie zastała nas nieprzygotowanych.

Z ciężkiego przejścia duchowego, w którem jesteśmy, wynieśmy nietylko oko baczniejsze na sprawność wojskową społeczeństwa, lecz także tę spotęgowaną szlachetność co w ostatnich czasach tak jasnym blaskiem czoło nam ozdobiła.

Przesadźmy ją na pole codziennej naszej pracy publicznej! Niech kwitnie, niech się rozwija, niech upiększa, podnosi i ułatwia narodowe życie!

W codzienną pracę publiczną tyle też serca wkładajmy, ile go znalazło się w nas w obecnej chwili. A gdy będziemy zawsze, codzień i we wszystkiem tacy, jakimi byliśmy teraz, to wierzmy, że znacznie rychlej skończy się nasze płonne oczekiwanie głosu wybawienia wśród nocnej ciszy i znacznie rychlej zaświeci gwiazda z nad betleemskiej stajenki, co wówczas przy jednym wielkim wigilijnym stole jednem tętnem radosnem zjednoczy wszystkie serca polskie.

Dr. ROGER BATTAGLIA.

---

*
* *

Bądź pochwalona w żłobie złożona Dziecino,
Twój strażnik — Józef święty, — Twoja Matka — [Panna,
Aniołków pulchnych słodka nad Twoją głowiną
I wnukiem ucieszona babka, święta Anna!

Wiem całkiem niewątpliwie, mały, co cię czeka,
Na jakie straszne wiry, na jakie odmęty
Porwą Cię fale życia, najsłodszego Człeka,
Bom pilnie przestudyował oba Testamenty.

Wiem, że za wodzem-gwiazdą po roku pochodu,
W barwnym, pysznym orszaku swych przybo- [cznych drużyn
Przyjdą złożyć Ci pokłon Magowie ze Wschodu:
Dwaj Króle pięknie biali i trzeci — Król- [murzyn.

Bardzo drogie podarki przyniosą ze sobą,
Lecz cię nie uradują ich cenne puzderka
Tyle, co król Etiopa swą śmieszną osobą
I jego dar naiwny: dwa małe lusterka.

Król ziemi, owinięty starannie w pieluszki,
Błogosławieństwem boską swą zaznaczysz [władzę, —
A gdy cię czarny kornie pocałuje w nóżki,
Z uśmiechem zetrzesz z stopek swych [murzyńską sadzę.

*

Jak innym biednym dzieciom, lata ci upłyną
Słodko pośród grzechotek, w przestrzeni [zamkniętej
Warsztatu ojcowego, pod pieczą matczyną,
Chroniącą Twej młodości pierwszej pączek [święty.

Zwolna wstępować poczniesz na szczebel ze [szczebla
I, wszystkich synów cieśli protoplasta czysty,
Niezręcznie zaczniesz imać się dłuta i hebla
I marzyć o rzemiośle dzielnem legionisty.

Niekiedy, zaskoczony już myśli zaraniem,
W próżnię spojrzenie wbijesz, smętnie siedząc [w kącie,
I matkę jakiemś chmurnem zastraszysz [pytaniem,
Jak dzieci, co nie wiedzą nic o horyzoncie.

A będą to pytania nie — ot, po próżnicy,
Jak: ile jest na świecie gwiazd, ptaków lub [sosen.
Bo wkrótce wejdziesz w dyskurs z starszyzną [bożnicy,
Chociaż dwunastu jeszcze nie będziesz miał [wiosen.

...Wspomnisz siebie... i garnąć będziesz drobne [dzieci
I dalej, coraz dalej, przez bóle i smęty,
Aż zaczniesz swój ostatni rok trzydziesty trzeci...
Wiem, bo przestudyowałem oba Testamenty.

Lecz tu już zbyt ponura powieść się potoczy
I na samo wspomnienie serce w piersi mdleje.
Przebacz, że na twej męki widok zamknę oczy,
Jak oczy na swe przyszłe zamykam koleje...

LUDWIK MARYA STAFF.

Z PSYCHOLOGII PARLAMENTU.

Lwów, 24. grudnia.

Ubiegły tydzień dał znowu cenne przyczynki do obserwacyi parlamentu, jako ciała zbiorowego, złożonego z bardzo rozbieżnych czynników. Jak każde ciało zbiorowe, tak i parlament ulega pewnym prawom psychiki humoru, tem ciekawszym, że nie jak tłum jakikolwiek w wyraźnem znaczeniu, złożony jest z jednostek jednorodnych, lecz że rozbieżność i różnorodność czynników nadaje mu pewien szczególny charakter.

Temperament narodowy każdej z jego części staje się składnikiem ogólnego temperamentu, przyczem jeszcze zauważyć należy, że i ten narodowy temperament jest zmianą wypadkową różnych zapatrywań i doświadczeń.

Ciekawe byłoby studyum psychicznego nastroju każdej z grup. Niejedna z nich może czułaby się bardzo dotknięta wyraźnem wypowiedzeniem spostrzeżeń odnośnie do niej dokonanych.

Jednak tego zamiaru nie można mieć w numerze świątecznym, wystarczy na razie kilka uwag ogólnych. Niestety, uwagi te nie mogą być bardzo dodatnie. I dni ostatnie dowiodły, że zasadniczym tonem w stosunkach międzypartyjnych jest nieszczerość, nietylko ta, która zawsze uważa się jeszcze za postulat dyplomacyi i taktyki, ale także i ta, która wobec szerokich kół wyborców każe się stawiać posłowi w roli bohatera. Kiedy zapowiada się z wielką emfazą zaciętą walkę przeciw rządowi, systemowi, krzywdzicielom, brzmi to bardzo pięknie w dziennikach, szczególnie prowincyonalnych i otacza posła aureolą wielkiego bohaterstwa. Długie mowy, tak

długie, że mogą być bezsensowre, wykrzykniki oburzenia, bębnienie na pulpitach lub łamanie ich, imponuje może wyborcom w odległych mieścinach, ale gdy widzi się z bliska, jak to wszystko dzieje się nieszczerze, jak tym niby objawom oburzenia towarzyszą ironiczne uśmiechy, jakie rozmowy toczą się równocześnie po kuloarach, to całe to bohaterstwo spada do poziomu wstrętnej komedyi.

Dzisiaj na tem poznał się już cały parlament, nie poznali się tylko wyborcy, a przyczyniają się do tego dzienniki, które w poszukiwaniu różnych osobliwości, poświęcają bohaterom obstrukcyjnym sążniste artykuły.

Tak się przedstawia jedna strona medalu. Ale też i na stronę zwalczającą obstrukcyę nie same tylko jasne światła padają. I po tej stronie jest dużo pozy, wiele sztucznej energii, wiele nieobliczalnych a w skutkach często szkodliwych porywów, nie brak też czasem obliczeń, możliwych korzyści, lub przynajmniej przystrojenia dziurki od surduta.

Gdy się nadto widzi, jak do energii i wytrwałości trzeba zmuszać, namawiać i nakłaniać całe szeregi członków większości parlamentarnej, jak trzeba zwalczać lenistwo i tchórzostwo, to równie sceptycznie czyta się artykuły, sławiące bohaterów, łamiących obstrukcyę. Parlamentowi niebezpieczna rzecz przypatrywać się z bliska.

Dziwić się należy tylko tym chwalcom dawnego, kuryalnego parlamentu, którzy niby ze zgo szeniem przypatrują się tym objawom, niepomni, że w tamtym parlamencie nie lepiej się działo. Bo jednak ten nowy parlament, który wyszedł z powszechnego głosowania, więcej czuje swoją odpowiedzialność, a nawet jego błędy, wady i słabości wypływają w znacznej części z tego może źle zrozumianego poczucia odpowiedzialności, ale ostatecznie ten parlament pracuje, załatwia wszystkie poruczone mu sprawy, występuje z inicyatywą na różnych polach i powoli z mętnych aspiracyi niedość obmyślanych wniosków, z powodzi mów wyłania się jaśniejszy obraz, którego tem rychlej spodziewać się można, że ten parlament ma odwagę ograniczania własnej samowoli, nakładania na siebie koniecznych dla dobra sprawy więzów. Dojrzewa w nim myśl, by stał się prawdziwszą, niż dawniej reprezentacyą ludową, stadyum rozwoju musi — jak wszędzie — przynosić z sobą błędy i zboczenia, ale patrząc z większej odległości, przyznać trzeba, że ten rozwój zbliża się coraz bardziej ku drodze prostej.

Ci, którzy dzisiaj w tym stanie cierpią i wiele przykrości znoszą, torują lepszą drogę swoim następcom.

LUDOMIŁ GERMAN.

WYWIAD „ORYENTACYJNY“ U WICEPREZYD. RUTOWSKIEGO.

Odkąd wicepr. Rutowski „zawiesił“ pióro politycznego publicysty, bo jak powiada „odrzuciło“ go od polityki, i utonął w swej Galeryi i „Sztuce“, niepodobna wydobyć od niego artykułu politycznego.

Gdy jednak w ostatniej fazie „wilk wróci do lasu“ i bardzo był czynny w robocie nad „oryentacyą“ społeczeństwa na mnóstwie konferencyi, w Radzie Narodowej i w Kole Sejmowym, usiłowaliśmy drogą interwiewu wyciągnąć z niego „oryentacyę“, która chyba faktycznie zdominowała wszystkie inne. Wszystkie wrzekomo patentowane „polskie“ oryentacye, „bierność“, wyciąganie na pierwszy plan „antipruskiego frontu“, należą chyba do historyi — pod grozą zupełnej izolacyi wyparły się rusofilskiej oryentacyi wszystkie czynniki, które jawnie lub kryjomo a choćby bezwiednie jej służyły.

Pomimo wszystkie pokojowe wieści poseł Rutowski uważa antagonizm mocarstw rozbiorowych za niedający się zażegnać, Musi on kiedyś doprowadzić do starcia. Sytuacya wytworzona wojną bałkańską stawia Austryę przed kwestyą bytu. Proces dziejowy stawia Austryę we dwa ognie. Tylko ślepiec może nie widzieć „grozy jutra“, a odwłoka każdego roku, każdego dnia musi z matematyczną ścisłością jeno potęgować siły, których celem destrukcya Austryi.

Trzeba przypuścić, że Austrya nie będzie „zawsze za późno“ o ideę, o „jedną armię“. Więc kwestya „wojna czy pokój“, — dziś czy jutro — czy lepiej wcześniej, czy później — musi spędzać sen z powieki tych co są w Burgu, w Belwederze na Ballplatzu czy „Amhofie“.

To proces dziejowy, światowej doniosłości, który przeżywamy. Więc i Polak spać nie może.

„Zanosi się nareszcie, mówi p. Rutowski, po raz pierwszy na seryo, w dziejach porozbiorowych na konflagracyę pomiędzy porozbiorowemi mocarstwami, której instynkt narodu i trzeźwa myśl polityczna zawsze pragnęła i pragnąć musiała, jako jedynej sytuacyi, w której dla Polski może coś świtać. Wszystkie nasze nadzieje, wysiłki i porywy zmarniały, bo były „nie w porę“, „za późno“ czy „za wcześnie“, — liczyły na pomoce księżycowe. Przyszłość dla Polaków jest jedynie w sytuacyi, gdyby kit wspólnictwa w rozbiorze się rozkruszył, gdy przyjdzie do konflagracyi mocarstw rozbiorowych na ziemiach polskich, gdy jedno mocarstwo będzie potrzebowało naszej narodowej kooperacyi a nawet pomocy.

Zanosi się na taką dziejową sytuacyę, w której zdawna wzrastający antagonizm żywotnych interesów Austryi i Rosyi będzie musiał szukać rozwiązania z bronią w ręku.

To i dopiero to przyniesie tę „chwilę osobliwą“, której patryota wyglądał i dożyć pragnął od stu dwudziestu lat, przychodzi ta „chwila upragniona“, której trzeźwa myśl polityczna czekała od upadku państwa, jako jedynego dziejowego momentu, przynoszącego możliwość przemian, zdolnych otworzyć dla narodu widoki a nawet realizacyę śmielszych a nawet śmiałych pragnień i dążeń.

Taka chwila przychodzi raz na wieki, na taką chwilę trzeba być gotowym, duchowo, fizycznie, takiej chwili nie wolno zmarnować, pod narodową zbrodnią, pod narodowem przekleństwem.

Na tę chwilę wszelkie rozbicie narodu byłoby narodowem nieszczęściem.

Naród musi wybrać jedną stronę i stanąć po tej stronie całą potęgą solidarnego wielkiego narodu.

Zdumiewające i nad wyraz smutne, to fakt, że wartość tego czynnika najniżej ocenia — sam Polak. Po strasznych zawodach zatraciliśmy poczucie własnej wartości. Zmarnowawszy ją wielokroć w niewczesnych, nieprzygotowanych porywach, podjętych w pojedynkę z olbrzymią przemocą, — straciliśmy zrozumienie potęgi solidarnego, dwudziestomilionowego, uświadomionego narodu, przygotowanego do przemyślanego, zwartego działania, opartego o potęgę mocarstwową pierwszorzędnej wartości.

Odcinek „Gazety Wieczornej“ z d. 24 grudnia 1912.

59

STEFAN ŻEROMSKI

WIERNA RZEKA

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Żołnierze, usłyszawszy strzały i zobaczywszy przez okno, co się dzieje, pędzili do koni i odcięli mu do nich drogę. Przeskoczył tedy drugi rozwalony płot i na oślep pobiegł w dół, ogrodem, prowadzącym w kierunku rzeki.

Panna Salomea, stojąca w oknie, widziała te obadwa wypadki, które się dokonały z szybkością dziesięćkroć większą, niż ich opis wyrazić to może. Uczepiona rękami o futrynę okienną, patrzyła, jak młodszy z komisarzów przebiegł na dragońskim wierzchowcu, w tumanie bryzgów błota i tającego śniegu, drogę do mostu, most na rzece, wypadł w łąki i gnał płaskiemi błoniami coraz bardziej chyżym przecwałem. Schylił się, położył na szyi końskiej tak, że go prawie widać nie było. Ogier jego stawał się od najtęższego galopa coraz niższy, coraz dłuższy. Leciał po niskiej ziemi, jak dziwaczne ptaszysko. Sześciu dragonów w skok za nim pognało. Błękitne kłębki dymu raz wraz nad nimi pękały. Strzelali do uciekającego, — bezskutecznie, bo pędził wciąż, pędził, — ku lasom. — Wreszcie znikł.

Panna Salomea wychyliła się z okna, szukając oczami drugiego, starszego... Ale Szczepan oderwał jej palce od okna i nieprzytomną z wrażenia powlókł ze sobą. Nie pozwolił również zatrzymać się przy ukrytym powstańcu. Wyszli co tchu przez sień, drzwiami, opuszczonemi przez żołnierzy, przemknęli niepostrzeżeni przez ogród i pobiegli na wzgórze. Szczepan, uciekający teraz jak mały chłopak, coś mamrotał. Ciągnął za sobą pannę Salomeę. Za jednym z większych krzaków jałowcu przycupnął, jak lis. Towarzyszce kazał uczynić to samo. Wychyliwszy się z za kępy, patrzyli, co się dzieje. Poprzez bezlistne drzewa, w świetle łagodnego poranka widzieli nad rzeką rzecz straszliwą — słyszeli strzały, — zwierzęce krzyki... Panna Mija przycichła. Ręce jej konwulsyjnie pochwyciły kłujące gałęzie jałowca. Ciało się zachwiało. Omdlała. Szczepan cucił ją, wycierając skronie grudkami zczerniałego śniegu, który się jeszcze tail w głębi szorstkiego krzaka.

Tymczasem nad brzegiem rzeki Hubert Olbromski staczał swój ostatni chwalebny bój. Oficer dragonów, nazwiskiem Wiesnicyn, — ten sam, który już był rewidował niezdolski dwór i zapałał dziką miłością do panny Salomei, — ścigając z rozkazu swych władz od miejsca do miejsca dwu komisarzy rządu narodowego, po śladach dopadł ich tutaj. Widział z ganku ucieczkę jednego z nich na koniu, należącym do dragońskiego oddziału. Miał rozkaz schwycić obydwu żywcem, gdzieś na noclegu. Wykonał zlecenie z całą ścisłością. Przybył w sam czas. Toteż płonął od zawziętej żądzy, żeby przynajmniej drugiego pojmać. Pędząc za żołnierzami w dół ku rzece, wołał na cały głos:

— Trzymaj żywego! Żywcem go brać! Tylko żywcem! Nie waż się strzelać! Rękami bierz! Trzymaj! Osaczyć!

Olbromski słyszał ten rozkazujący krzyk. Poczuł w sercu śmierć.

(C. d. n.)

Doszło do tego, że jedynie z polskich sfer prawie starano się siebie samego zdeprecyonować, niwecząc podstawy prawa do żądania ekwiwalentu z tytułu naszej kooperacyi i faktycznej pomocy.

Tę wartość „czynnika polskiego" stanowi dopiero to wszystko, co ten czynnik świadczyć zdolen ponad prosty obowiązek z tytułu przynależności państwowej.

Po raz pierwszy w dobie porozbiorowej otwiera się perspektywa, że wielkie mocarstwo rozbiorowe, poparte potężnym sojuszem, ma front jawnie zwrócony przeciw Rosyi. Otwiera się możliwość skutecznej walki z Rosyą. Nie tylko z caratem, systemem rządów, bo te mogą przeminąć, — ale z Rosyą, z państwem, z narodem, z wszechświatową potęgą, która zburzyła nasze państwo, zabrała dwie trzecie ziem naszych, odebrała wszystkie historyczne zdobycze naszej tysiącletniej przeszłości, wszystkie zdobycze naszej dziejowej pracy polskim mieczem, pługiem, kulturą, ziemie litewskie i ruskie. Z Rosyą, która w granicach naszych etnograficznych pozwoliła na zalew kolonizacyi niemieckiej, o jakim się Prusakom niemarzyło w Poznańskiem.

Otwiera się możliwość skutecznej walki z Rosyą, która pozbawiła nas wszystkich praw, niedopuszcza odrobiny narodowego samorządu, chce cofnąć do własnego kultura nasgo poziomu, demoralizuje duchowo i moralnie, niszczy materyalnie. Z Rosyą, która jest zagładą praw ludzkich i Boskich, wszelkiego narodowego rozwoju, która jest przepaścią bez ratunku. Z Rosyą, która gdyby była zwycięzką, zabrałaby jeszcze resztę ziem naszych, większej połowy Galicyi, na wieczystą zatratę.

Możność tej walki, możność tej walki skutecznej z Rosyą, która nas zgubiła i doszczętnie gubi, która zagraża także Austryi, jest perspektywą jutra. Wspólność interesu jest największą gwarancyą.

To też, mimo wszystkie „oryentacye" krótkowidztwa czy egoizmu, — instynkt narodu, rozum polityczny, oparty na doświadczeniu przeszłości, oświadczyć się musi za gotowością współdziałania z mocarstwem, które jedyne zrozumiało zgodność własnego interesu z naszym narodowym rozwojem.

Z polskiego patryotyzmu, w polskim interesie, nauczeni doświadczeniami przeszłości, mamy i musimy być gotowi na wyzyskanie dziejowej sytuacyi, z dawna upragnionej, którą proces historyczny przybliża, która nadejść musi.

Na tę chwilę wielką, czy ona przyjdzie jutro, czy na nią jeszcze lata czekać trzeba, naród musi się gotować jak na chwilę zbawienia. Wypadki bałkańskie pokazują, co znaczy wytrwałość w narodowych celach, moc ducha i siła fizyczna, cnoty wojenne, poczucie narodowego obowiązku i ofiary.

Otwiera się nowa karta dziejów. Nad grobem zatraty i podeptania widnieją świty. Potrzeba rozumnej polityki, co potrafi wartość narodowej kooperacyi wielkiego narodu uczynić zrozumiałą, pożądaną gdzie należy, i zdobyć największą sumę gwarancyi, opartych o realizm największej gwarancyi, jaką daje wspólność interesu.

Reszta — to narodowa gotowość, solidarność, odrodzenie prastarych cnót wojennych, szerzenie narodowej świadomości w masach, ducha ofiary. Są dane, że tym razem to nie jest *sperare contra spem.*

Więcej panu dziś nie powiem. Ja stary skeptyk polityczny mam nadzieję, że Bóg da jeszcze dożyć. Wy młodzi macie przed sobą świty przyszłości, o jakiej wczoraj marzyć nie było wolno.

Piszcie społeczeństwu strasznie znękanemu: zanosi się na wielkie rzeczy dla Polaka. Tylko że mu z ognia nikt kasztanów nie wyciągnie.

Tak „Wesołych świąt" jeszcze nie mieliśmy.

MIĘDZYNARODOWE I NARODOWE PRZEOBRAŻENIA.

(Chcąc poinformować naszych Czytelników o przeobrażeniach, jakie dokonują się w poglądach Niemców austryackich pod wpływem ostatnich zajść międzynarodowych, zwróciliśmy się do wybitnego parlamentarzysty, dr. Ottona Steinwendera z prośbą o napisanie artykułu dla „Gazety Wieczornej". Czyniąc zadość naszej prośbie, nadesłał nam poseł Steinwender poniżej zamieszczony artykuł. Red.)

Europejska Turcya już dawno przestała być aktywnym czynnikiem polityki międzynarodowej, jej istnienie stanowiło atoli przesłankę wszystkich obliczeń starej dyplomacyi. Jak długo Turcya istniała, można było odwlec rozwiązanie całego szeregu trudnych kwestyi, jak opanowanie morza Śródziemnego, ekspanzyę Rosyi na południowy zachód, ustalenie stosunku Austro-Węgier do Włoch i do Rosyi. Na odwlekaniu wszystkich tych spraw opierała się polityka pokoju i przymierzy.

Jednakowoż nikt nie miał złudzeń, że przesłanki takiej polityki nie długo dadzą się utrzymać. To też w przyspieszonem tempie przeobrażono uzbrojony pokój w ogólne pogotowie wojenne, a z tego pogotowia wojennego omal nie wyłoniła się wojna, która byłaby nie czekała na upadek Turcyi, lecz ją ubiegła.

Akcya ludów bałkańskich i ich niespodziane sukcesy w niwecz obróciły obliczenia dyplomacyi i spowodowały gwałtowny spadek walorów politycznych.

Było to, jak się teraz okazuje, dobrodziejstwem dla ludów europejskich. Bo likwidacya Turcyi dokonuje się jako wewnętrzna sprawa Bałkanu, natomiast inne mocarstwa, zamiast rzucić się na siebie, łączą się. Trójprzymierze, którego dni zdały się być policzone, zostało odnowione, i co wyrozumowanymi argumentami napróżno tyle razy, jako konieczność uznawano, a mianowicie szczere zbliżenie między Austryą a Włochami — tego dokonały zwycięstwa serbskie, co prawda, niezbyt ciężko wywalczone.

W Austro-Węgrzech i we Włoszech spekulowano na Albanię; od tej niebezpiecznej głupoty po obu stronach odstąpiono. Austrya i Włochy żądają teraz czegoś zupełnie innego: Albania nie ma być ani austryacką, ani włoską, ani serbską — lecz samodzielną. Tem samem usuniętą została jedyna rzeczywista przeszkoda uczciwej przyjaźni między naszą monarchią a Włochami. Tak samo i mocarstwa trójporozumienia okazują dążność do pogodzenia się z wielkiemi zmianami, jakie ostatnio się dokonały, bez zamiarów osiągnięcia osobnych korzyści.

O wiele mniej korzystnie podziałały zdarzenia bałkańskie na wewnętrzne nasze stosunki. Nie mam tu na myśli ogólnego ustroju, który na ogół był patryotyczny i skłonny do ofiar, ani następstw państwowo-finansowych i prywatno-gospodarczych, jakkolwiek przejawiają się bardzo poważnie — lecz tylko następstwa narodowo-polityczne.

Zarówno w Austryi, jak i na Węgrzech, wzrosła silnie samowiedza Słowian południowych i wyładowują się tendencye, które my, Niemcy, łatwiej możemy zrozumieć, jak znieść. Zjednoczenie południowych Słowian jest w drodze. Może to zjednoczenie przez długi czas będzie tylko kulturalne; w tym razie powinniśmy je intenzywnie wspierać, już choćby dlatego, aby osłabić pęd ku zjednoczeniu politycznemu. Lecz na dłuższy czas nie zadowolą się południowi Słowianie zjednoczeniem kulturalnem; może upłynie jeszcze kilka dziesiątek lat, lecz nie będzie spokoju, aż Serbokroaci stworzą sobie państwową egzystencyę.

W jakich formach i zapomocą jakich ograniczeń ten cel zostanie osiągnięty — o tem teraz bezcelowem jest mówić. Do ostatecznych konsekwencyi nie daje się żadna idea doprowadzać, a więc również i idea narodowa. Tak, jak wielka część narodu niemieckiego znajduje się poza Rzeszą niemiecką, a narodowi lepiej służy, niżby się ofiarowała Rzeszy z podaniem o przyjęcie — tak samo mogą po drodze, wiodącej do państwowego bytu Słowian południowych, rozwinąć się formy bardziej skomplikowe, a mimo to bardziej żywotne. Możliwe jest wyjęcie królestwa Serbii poza nawias kombinacyi, może geograficzna konieczność oparcia się o niemieckich sąsiadów okaże się silniejszą, niż węzły plemienne. W każdym razie pozostaje do uwzględnienia terytoryum, które obecnie ani nie jest austryackie, ani węgierskie — lecz bośniackie.

Okupacya Bośni była aktem pierwszym, aneksya drugim, wojna bałkańska trzecim; jeszcze jeden lub dwa akty nas czekają. A choćby się sztuka nie skończyła tragicznie — to w każdym razie przyjemności nam sprawiać nie będzie, a Węgrom już najmniej.

Zbliżenie, dokonujące się obecnie między Niemcami a Węgrami, jest bardzo na czasie; będzie ono jednak tylko wtedy połączone z korzyściami, jeśli oba narody porozumieją się nie co do tego, czy należy zaspokoić pęd Serbokroatów do państwowego bytu, lecz jak go zaspokoić!

Dr. OTTON STEINWENDER
poseł do Rady państwa

ZIELNIK.

Gdy byłem małym chłopcem, lubiłem daleko
Wychodzić na spacery i zbierać pola
Z kwiatów, by nimi biały mój zielnik napełniać.
Cieszyła mnie ta smutnej zieleni niewola.

Potem żółkły te ciche umarłe badyle,
W kart jasności ciemnemi plamy rozpostarte
I wydawały tylko smutną woń agonii,
Która wpływała w sztywną, nieruchomą kartę.

A z każdym się łączyła jakaś dobra chwila,
Taka cudnie zielona i złota, jak łąki,
Po których żerowałem. Dziś, gdy patrzę w zielnik,
Przeżywam drugie z temi chwilami rozłąki.

Bo z tych kart idą do mnie wszystkie me zawody
I kryte przed starszymi, ciche jakieś smutki,
Po których mi dziś tylko zostały te ciemne,
Naklejone na papier, nieżywe ogródki.

Zmartwychwstaje ze starej, umarłej stronnicy
Mały chłopczyk ze złotym, rozwitym kędziorem,
Z rączkami, łowiącym kwiaty i z tem dziwnem
Spojrzeniem, na tęsknotę już w dzieciństwie chorem.

I w tym cichym, jak cmentarz, zżółkłych roślin zbiorze
Nigdzie nie brak ni kwiatu ni liścia uschłego,
A wszystkich — mą dziecinną spisywane ręką,
Smętne nazwy łacińskie, jak nagrobki, strzegą!

I tylko tam, gdzie pachniał zielony czterolistny
Koniczyny, choć szczęścia pragnienie nie znika
Dotąd we mnie, ktoś musiał zazdrościć mi szczęścia,
Bo tylko napis świeci wśród pustki zielnika.

STANISŁAW MAYKOWSKI.

BYŁO TO DNIA...

Tam, gdzie słońce zaszło, z czarnego tła dwa pasy się wysunęły: amarantowy i biały.

— Babciu! patrz! chorągiew...

— Gdzie?

— Patrz przez okno!... o! tam: między chmurami! — to taka była nasza: amarantowo — biała, prawda?

— Nie była, jest i będzie...

— Babciu, patrz! Księżyc czerwony, jak krew...

— Nie, nie! nie jak krew! Księżyc dziś pomarańczowy...

— Babciu, opowiedz bajeczkę...

— Dobrze, ale przedtem popatrz do pokoju braciszka, czy już wrócił?...

— Jeszcze nie wrócił...

— Jeszcze nie?!

— Gdy szedłem przez ciemny salon, coś stukło...

— Stukło?... Pewno wiatr szarpnął drzwiami...

— Babciu, powiedz, co to jest? Mnie jest smutno, a ja nie wiem dlaczego?

— Czy już przynieśli gazety?...

— Jeszcze nie.

— Powinny już być...

— Babciu, czemu nasza niania dziś wciąż płacze i płacze?

— Jej narzeczony wyjechał.

— A czemu płacze niania z drugiego piętra?

— Jej narzeczony też wyjechał...

— Babciu, co to jest wojna?

— Droga cierniowa do szczęścia, lub nieszczęścia...

— A bajeczki nie będzie? Przecie obiecałaś...

— A tak, obiecałam... Otóż było to dnia... Zdaje mi się, że teraz drzwi skrzypły! Popatrz, może braciszek wrócił?...

...— Nikt nie wrócił! Ani braciszek, ani tatko, ani mama, ani siostrzyczki...

— Jeszcze nikt?! Już siódma — o tej porze zwykle wszyscy są zawsze...

— Babciu, a czy mnie zapiszą do „Czerwonego krzyża?"

— O! teraz z pewnością drzwi skrzypły — popatrz, popatrz...

— I teraz nikt nie przyszedł...

— I teraz nikt!

— Babciu, jak nie zaczniesz zaraz opowiadać, będę się bał przechodzić przez ciemny pokój...

— Było to dnia...

— Babciu, czemu nie opowiadasz dalej?

— Nadsłuchuję, czy kto nie wrócił...

— E! jak wrócą, to tu zaraz przyjdą... opowiadaj babciu.

— Było to dnia... choć o dzień mniejsza... było to późną jesienią... Młoda kobieta, podobna do twojej mamusi, stała przy oknie i patrzała w dal — patrzała tak, jakby od tego, co przyjść ma, zależało jej szczęście... Zwolna zapadał wieczór, chmurny, ponury wieczór: wiatr huczał, jęczał — o! tak huczał, jak teraz. Godziny mijały jedna za drugą bezlitośnie powoli, a ona wciąż stała przy oknie i czekała. W oczach jej była i nadzieja i duma i ofiarność i wielka obawa...

— Babciu, czemu płaczesz?

— Bo ten dzień, bo ten dzień był dziwnie podobny do dzisiejszego...

IGNACY NIKOROWICZ.

ŚPIEW FRANCZESKI.

To jest tytuł sztuki teatralnej, polskiej sztuki, sztuki napisanej przez osobę, mającą wybitne nazwisko na innem polu pracy pisarskiej, wreszcie sztuki bardzo dobrej i bardzo oryginalnej — a więc zjawiska, które jest dostatecznie ważne, aby o niem zawiadomić publiczność.

Jakim sposobem doszedłem do jej poznania, jak się autor nazywa, kim jest i gdzie mieszka — wyjawić nie mogę, bo autor stara się o taką tajemnicę, że nawet do bezimiennego odegrania na razie nie chce dać swojego utworu, a pertraktacye listowne o przełamanie jego oporu nie będą łatwe. Trzeba zaś sobie powiedzieć, że muszą doprowadzić do pożądanego rezultatu, bo oprócz wymienionych przymiotów sztuka odznacza się jeszcze jednem, a mianowicie wielką, głęboką polskością, pomimo cudzoziemskiego, dantejskiego tytułu.

Pochodzenie jego autor wyjaśnia w prologu, którego pobieżna charakterystyka, jak sądzę, da wyobrażenie o żywości, oryginalności, a zarazem prostocie tego nowego talentu dramatycznego.

A więc poprzed kurtynę przechodzi reżyser, spieszący do ostatnich zajęć przed rozpoczęciem przedstawienia. W połowie spotyka się z poetą, który z drugiej strony wchodzi ze zwitkiem papierów. Co to? Prolog? Nie! na to pozwolić nie mogę. Publiczność tego nie lubi, to niepotrzebne, sztuka sama tłumaczyć się powinna! Tu nie chodzi o prolog, ale o odczytanie małego ustępu z „Boskiej komedyi" — tłumaczy się poeta. — Wiersze? Tem gorzej! Publiczność ma wstręt do wierszy, a przytem Danta wszyscy znają, albo przynajmniej udają, że znają! — Ależ tytuł! idzie o wyjaśnienie tytułu sztuki. W końcu, choć niechętnie, reżyser godziwie, stopniowo sam się zapala i wywiązuje się sprzeczka z poetą, jak ten ustęp wygłosić należy. Poeta pierwsze jego wiersze deklamuje źle, reżyser także źle i sam to uznaje. Ktoby to zadeklamował? — W tej chwili przez szparę zasłony wychyla się głowa aktorki, która potem będzie grała główną rolę. O! pani to nam powie! Reżyser chwyta ją za rękę, wyprowadza przed kurtynę, daje książkę do rąk, aktorka czyta. Dobrze, dobrze, bardzo dobrze! Teraz zaczynajmy! — kończy reżyser.

A dalej rozwija się dramat pomiędzy paru zaledwo osobami, bardzo prosty, ale właśnie dlatego trudny do grania, bo wymagający niesłychanie dobrej obsady i niesłychanej staranności. — Szczególną trudność nastręcza ustęp, gdzie przychodzą zjawy zagrobowe w biały dzień, mające uplastycznić wspomnienia i myśli osoby w półomdleniu, a jak się pokazuje później, ciężko już chorej. Trzebaby tym zjawom pozostawić całą ich prostotę, a zarazem przez jakąś sztuczkę teatralną odebrać im wrażenie realności.

Mówiłem o tem z pewnym arcy-znawcą spraw teatralnych. Owoż jego zdaniem możnaby to osiągnąć n. p. przez nagłą zmianę elektrycznego światła żarowego na łukowe, co daje efekt widmowy. Nadto aktorzy, grający te zjawy, powinniby może, zamiast deklamacyi, chwycić się

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

BAJKA O SZCZĘŚCIU.

Dzwońcie dzwoneczki, dzwońcie!
Kwiaty główki pokłońcie.
Od dzisiaj, od poranka
Królewna ma kochanka.

Dziwią się kwiaty siostrzyce,
Ogród zaszumiał rozgłośnie,
Zdradził tę tajemnicę
Bluszcz, co pod oknem rośnie,
A wietrzyk, plotkarz młody,
Wieść rozniósł przez ogrody.

Czy znacie wy królewnę?
Jest biała jak lilii kwiat,
Oczy ma słodkie, rzewne,
Z światła gwiazdom pokrewne,
Jest biała jak lilii kwiat.
Gdy stanie pośród kwiatów
Drżących w porannych rosach,
Z złotem słońca we włosach,
W bieli przejrzystych szat —
Jest sama jako kwiat,
Wizya z nieziemskich światów.

Kochał ją ogród cały,
Więc kwiaty się pytały:
— „Bluszczu, gdy jesteś pewny,
Jeśli to nie jest kłam,
Ach powiedz, powiedz nam,
Kto jest kochankiem królewny?
Czy jaki srogi król
Z północnych, zimnych pól,
Czy książę, pan niezłomny,
Władca nad stu wyspami,
Czy rycerz ze skrzydłami?" —

— „Ni książę, ni król ogromny,
Co włada nad narody,
Ni rycerz w srebrnej zbroi,
Wiecie ludkowie moi,
Tylko nasz pazik młody,
Nasz pazik złotowłosy". —

— „Bluszczu! to chyba kłam,
Trudno uwierzyć nam." —

— „Był czysty, świeży ranek.
Na puchach, wśród firanek
Spała, jak ścięty kwiat.
Promyk słońca się kładł
Na piersi jej, których ruch
Mówił, że jeszcze żyje.
Spała, a lotny jej duch
Błądził gdzieś za gwiazdami
W światach, co są niczyje.
Wtem pazik nasz się wkradł,
Zatrzymał się przed drzwiami,
Lecz widząc ten śpiący cud,
Wnet na kolana padł
I modlił się w pokorze:
Dopomóż mi Amorze!!

W powietrzu wszczął się szum,
Jakby wypuścił kto
Białych gołębi sto
W ciche przestworza błękitu.
Cudna jakaś muzyka
Duszę mi w głąb przenika
Budząc rozkoszny dreszcz.
Róże, róż cały tłum
Z różanych płatków deszcz
Jął sypać się z sufitu.
Królewna rozbudzona
Białe rozwarła ramiona.
A paź wśród deszczu róż
Pośród migotań i barw,
Granica cudownych arf
Wszedł w czarodziejski krąg
Rozwartych, białych rąk
Na szczęście niewyśnione...
I na tem koniec już
Moi ludkowie mili,
Bo Amor, figlarz zły
Zjawił się skądś w tej chwili
Wieszając wnet zasłonę
Z różowej, gęstej mgły..."

Dzwonią dzwoneczki, dzwonią,
Róże ogniem się płonią,
Fontanna cicho pluszcze,
Mdleją na słońcu bluszcze,
A bratki nad wodną tonią
Upadły w swe objęcia...
Lecz cóż to? ktoś w ogród kroczy,
W ziemię spuszczone oczy,
Twarz blada, smutna boleśnie
Idzie, jak człowiek we śnie.
Rzuca się w traw kobierce
Dłonią przyciska serce
I płacze w głuchej rozpaczy.
Dziwią się kwiaty na nowo
Kłonią się ponad głową
Szepcą szumnemi głosy:
— „Paziku złotowłosy
Ach powiedz, co to znaczy?
Skąd taki jęk rozpaczy,
Czemu zaciskasz pięście?
Przecież posiadłeś szczęście,
Największe w życiu szczęście?!"

— „Kwiaty, ja byłem w niebie!
Więc jak mi teraz żyć
Tu z wami na tej ziemi
Z troskami codziennemi
Wśród waszych błahych spraw?!
Nie nagnę się, nie nagnę
I tylko śmierci pragnę!"

Dziwią się kwiaty z łąk
Szmer jakiś płynie wkrąg
Dziwy! słuchajcie, dziwy!
Płacze człowiek szczęśliwy!!

czegoś, jakby pół-śpiewu, recytacyi, kończonej chromatyką...

Ale to są trudności, które przy dobrej woli, a bez kosztów nawet, dadzą się przezwyciężyć. Największy szkopuł do przełamania stanowi wydostanie sztuki. Tak jednak bywa wszędzie: grafomania sama się narzuca, ale rzeczy dobre, oryginalne, przeważnie musi się zdobywać. A że jesteśmy biedni i nie możemy używać jako argumentu nadziei, ani długiego szeregu, kilkudziesięciu, lub kilkuset, przedstawień, ani związanych z tem zysków pieniężnych, a obecna nasza twórczość dramatyczna, jak to za granicą przyznano, jest oryginalniejsza, niż produkcye innych społeczeństw, więc to zdobywanie musi dokonywać się z większym trudem. Niema co narzekać na to, trzeba się poddać faktom i wierzyć, że się powiedzie i „Śpiew Franczeski“ wprowadzić na scenę...

WOJCIECH DĄBROWSKI.

GALICYA PO WOJNIE KRYMSKIEJ.

Łatwiej może w tej chwili niż kiedy indziej uprzytomnić sobie nastrój umysłów, jaki zapanował w Galicyi lat temu z górą sześćdziesiąt w czasie wojny wschodniej. Po zawieszeniu oktrojowanej konstytucyi austryackiej z r. 1849 i zdwojonym ucisku biurokratycznym, który od r. 1851 znowu zapanował — wpadły echa wojny wschodniej do kraju jak prądy wiosennych wichrów, które gną i łamią, lecz napełniają powietrze wonią odrodzenia, zwiastują powrót do życia, do słońca. Nie było kółka towarzyskiego, w którem by sobie nie opowiadano z zapartym oddechem, co się tam dzieje w Konstantynopolu, w Petersburgu, w Paryżu, co myśli Napoleon III. nowa gwiazda na politycznem niebie Europy, co mówi Palmerston w parlamencie angielskim. Nie wpadały wiadomości te z dzisiejszą szybkością telefoniczną do kraju — posiłkowano się pantoflową pocztą listów prywatnych, podawała je z ostrożnością i sosem rządowym „Gazeta Lwowska“, nieco śmielej „Czas“, a najwięcej „Der Wanderer“, wiedeńskie pismo polityczne, najbardziej podówczas w kraju rozpowszechnione.

Politykę uprawiano w salonach i kółkach rodzinnych. Opowiadano sobie bez końca, jakto Menżyków d. 2 marca 1853 w zabłoconych butach i zakurzonym paltocie wszedł na uroczyste posiedzenie dywanu w Konstantynopolu, ażeby wywołać awanturę, skoro Porta nie chce przyznać carowi Mikołajowi dobrowolnie wyłącznego protektoratu nad chrześcijanami w państwie ottomańskiem — jakto już w połowie czerwca pojawiły się w Dardanelach wysłane przez Napoleona i lorda Aberdeen zjednoczone floty francuska i angielska — jakto wojska rosyjskie wkroczyły już z początkiem lipca do księstw naddunajskich i zaczęły w nich gospodarować jak we własnym kraju, rabując kasy publiczne i wybierając rekruta — jak nareszcie 4. października wypowiedziała Turcya wojnę Rosyi, jeśli z księstw naddunajskich nie ustąpi, a Mikołaj dumnym manifestem z dnia 1. listopada, w roli obrońcy chrześcijan, zwrócił się przeciw Turcyi.

Wypadki szły tak szybko po sobie i rozgrywały się tak blizko granic Galicyi, że dziwić się nie można, iż wywołały rozbudzenie umysłów i trzymały je w ciągłem naprężeniu.

Historya mówi obszernie o tem, co się stało później, jak się rozpętała straszna i ostatnia chyba romantyczna wojna na Krymie i wybrzeżach morza Czarnego — z jaką brawurą bili się Turcy pod Omerem baszą, z jakiem bohaterstwem rzucali się Francuzi na zdobycie najgłówniejszej baszty sebastopolskiej, Małakowa, gdzie w ciągu kilku godzin padło po stronie państw zjednoczonych 7300, a po stronie rosyjskiej 13.000 ludzi. Z piekielnym hukiem owych 800 dział, które pod koniec sierpnia i w początku września 1855 bombardowały prawie bezustannie Sebastopol — posuwało się i rozszerzało coraz bardziej podziemne drżenie w Galicyi, budziły się nadzieje, że Napoleon III., który dziś z taką potęgą stawia granice zaborczości Moskwy, przypomni sobie także niewolę Polski... I ten nowy bóg wojny, starający się dorównać wielkiemu stryjowi swemu, stawał się znowu bożyszczem Polaków.

Zresztą i Polacy sami nie byli obcy tej wojnie — wszak garstka ich przelewała także krew w szeregach tureckich — wszak Iskender bej, który wspaniałym atakiem konnicy rozbił wojska rosyjskie — przy wyprawie na Kalafat — to był Polak hr. Iliński.

Wszystko to obiegało po kraju i górowało nad rozbudzonemi umysłami. Dodajmy do tego wrażenie, jakie wywarła nagła śmierć cara Mikołaja dn. 2. marca 1855, uważana powszechnie za samobójstwo, — dodajmy cholerę, która właśnie przeciągała przez kraj, zabierając liczne ofiary i tu i wśród walczących pod Sebastopolem — a uprzytomnimy sobie poniekąd ówczesny nastrój umysłów w Galicyi.

A nastrój ten nie ustawał, chociaż już działa pod Sebastopolem grzmieć przestały i reprezentanci państw europejskich zasiedli w marcu 1856 r. na kongresie pokojowym w Paryżu. Na kongresie tym zasiadł także hr. Cavour, reprezentant Sardynii, który miał wprosić się do wojennego koncertu państw zachodnich, wysyłając na Krym 12-tysięczny korpus sardyński, a teraz, zyskawszy głos na kongresie, wystąpił z żądaniem zjednoczenia Włoch.

Była to świeża bomba polityczna, wymierzona wprost przeciw Austryi. Monarchia ta doznawała już niemałego upokorzenia za swe dwulicowe zachowanie się w czasie wojny wschodniej — obecnie zaś zrozumiano w Europie, że po złamaniu Rosyi nastąpi zgniecenie drugiego mocarstwa ze świętego przymierza: wyrzucenie Austryi z półwyspu włoskiego.

Więc do owych drżeń, wywołanych salwami armat pod Sebastopolem, przybyły drżenia nowych nadziei, nowych oczekiwać... A Austrya, pewna obojętności Moskali za niewdzięczność, okazaną im w ostatniej wojnie i wikłająca się coraz bardziej z Prusami w podziemnych zapasach o suwerenat nad Niemcami — czuła się odosobnioną na wypadek nowego ciosu. Musiano się tedy liczyć i z uspcsobieniem ludności. Ucisk niemiecko-biurokratyczny wolniał cokolwiek, zaczęto kokietować z narodowościami, rząd i jego przedstawiciele stawali się dostępniejsi, przyjemniejsi.

A w Italii wrzało coraz bardziej...

I gdy jeszcze moda, zebrania towarzyskie i gadki wśród ludu wiejskiego były pełne wspomnień z wojny krymskiej — gdy elegancki świat stroił się w paltoty, zwane „menżykowami“, palmerstonami“ lub „raglanami“ od lorda Raglana, wodza wojsk angielskich, który zmarł na cholerę pod Sebastopolem — gdy sobie jeszcze opowiadano po tysiączny raz ukuty gdzieś w „Czasie“ kalambur, że królowa angielska cara osła-biła, a pod Kronsztadem Napier działa — gdy w jarmarcznych panoramach wystawiano ciągle zdobycie Bałaktawy, Małakowa itd., a na Wałach hetmańskich podziwiano jeszcze spryt tych przedsiębiorców, którzy, wziąwszy na siebie wojskową dostawę do Księstw Naddunajskich, zakupionej gdzieś na Morawach i załadowanej we worki plombowane pszenicy — przewieźli puste worki rozprute przez Galicyę i napełnili je na nowo znacznie tańszą pszenicą na Bukowinie — gdy jeszcze wszystko to opowiadano sobie, już zelektryzował Europę zamach Orsiniego na Napoleona III., dokonany 14 stycznia 1858 przy wjeździe do opery paryskiej. Dla pary cesarskiej skończył się on tylko lekkiemi ranami — lecz z pośród publiczności padło wiele ofiar od ręcznych granatów, którym sprzysiężeni Marzianiści obsypali powóz cesarski. Karbonaryusze włoscy, do których Napoleon III. w r. 1831 należał, postanowili zgubić go, skoro nie przystąpił jeszcze do wyswobodzenia Włoch. I to groźne „memento“, któr Orsini i Pieri przypłacili życiem, wstrząsnęło Napoleonem, zelektryzowało znów Europę.

Nareszcie padł grom.

Napoleon zwykł był przy życzeniach noworocznych, składanych mu przez ciało dyplomatyczne, wyrażać swe poglądy na położenie Europy i stawiać horoskopy na przyszłość. Uczynił to samo i dnia 1 stycznia 1859. Lecz, o zgrozo! zamiast oświadczyć, że stosunki Francyi ze wszystkiemi państwami są jak najlepsze, oświadczył, zwracając się do posła austryackiego, bar. Hübnera, iż „ubolewa, że stosunek Francyi do Austryi nie jest tak dobry, jakby on sobie tego życzył“, ale równocześnie prosił o zapewnienie cesarza austryackiego, iż osobiście żywi do niego zawsze te same uczucia.

W Austryi zrozumiano te życzenia noworoczne i zabrano się gorączkowo do zbrojenia i mobilizowania armii.

Można sobie wyobrazić, jak to wszystko oddziałało na Polaków, których serca drżały jeszcze nadziejami, rozbudzonemi przez wojnę krymską i jaki nastrój zapanował przedewszystkiem w Galicyi.

Tak wyglądała ta ważna chwila, która wpłynęła na dalszy jej rozwój narodowy, polityczny i literacki i powoływała coraz szersze warstwy ludności do pracy nad odrodzeniem tej części Polski.

JULIUSZ STARKEL.

Z CYKLU: ZAMYŚLENIA.

ŚWIĘTY.

Po trzykroć wielki jest i święty,
który życia swego torem
poprzez walki nędze i domęty
innym ziemi aniołom jest wzorem,
z którego zwycięstw kryształowej czary
spływa ożywczy napój wiary
na aniołów, zbłąkanych w tłum szary.

1908 — Monachium.

WESTCHNIENIE PROROKA.

Kiedyś mego kościoła powstaną pasterze,
zatrzymać zechcą ludzkość stale przy mej wierze,
uczynią z żaru serca mego martwe słowa,
słów mych się trzymać będą, niepomni, że mowa
słów wciąż inna jest, wraz z każdą duszą nowa
i że ze słowem nowem związan jest świat inny.
Dusza dla nich skostniała i mózg wręcz bezczynny
pietyzmem mego będą u nich testamentu
i niszczyć będą moje dziedzictwo do szczętu.

1908 — Monachium.

O TYCH, CO SIĘ UMIEJĄ WCZUWAĆ.

Szczęśliwi ludzie, co nie będąc niczem
w życiu, wszystkiem być mogą
przez swą wczuwania zdolność artystyczną —
i z nowem wciąż obliczem
i nową duszy grą mimiczną
nie ustraszeni żadną trwogą
żyją przedziwne grozy i słodycze,
nadzieje, żądze i gorycze.
Los ich w ich wnętrzu wciąż się mieni,
wciąż inna nić się jego mota.
Ta wyobraźni ich twórcza robota
co rozmaitość życia sobie ceni —
odbija na nich piętno marzycieli
i nieraz duszę do cna im spopieli.

1907 — Lwów.

MARYAN OLSZEWSKI.

Zbiory Giełdzińskiego we Lwowie.

Aukcya zbiorów Giełdzińskiego stała się dla muzeów polskich bardzo ważnem wydarzeniem. Wiedzieli bowiem znawcy, że kryło się tam dużo zabytków gdańskiego przemysłu artystycznego, które Giełdziński zbierał od kilkudziesięciu lat. Na wieść o aukcyi rozpoczęliśmy razem z Muzeum Narodowem starania, aby uzyskać potrzebne fundusze i przynajmniej część tych zabytków dla społeczeństwa uratować. Wiedziało się z góry, że ta sprawa nie będzie łatwa, ponieważ aukcya była w ostatnich dniach bardzo rozreklamowana; we wszystkich niemal dziennikach pojawiały się dłuższe i krótsze artykuły, stąd zainteresowanie się wśród zbieraczy było ogromne.

Funduszów mieliśmy, Lwów i Kraków, niewiele. Zaledwie po kilkanaście tysięcy koron wypadało na każde muzeum. Mimo że ceny poszczególnych zabytków podskoczyły bardzo wysoko — jak na każdej większej licytacyi — udało się nam jednak wyzyskać kilka szczęśliwych momentów i zakupić sporo wybitniejszych okazów.

Dla naszego Muzeum Przemysłowego kupiłem przedewszystkiem wspaniałe łoże gdańskie.

bogato rzeźbione, z XVII. w., za cenę nadzwyczajnie — ponad wszelkie przypuszczenie — tanią. Nabyłem dalej szafę gdańską, wykonaną pod wpływem holenderskim, również z XVII. wieku i komodę z XVIII. w., taksamo roboty gdańskiej. Pozatem szereg pomniejszych muzealiów, wyroby z żelaza, mosiądzu, bronzu z XVII. i XVIII. wieku.

Dr. Kopera szukał dla Muzeum Narodowego w Krakowie również szeregu okazów wyrobu gdańskiego i nabył na aukcyi też jedną szafę gdańską. Osobno zakupił bardzo piękną, bogato rzeźbioną szafę gdańską z XVII. wieku. Szukaliśmy bowiem zabytków także po handlach antykwarskich i udało się nam w istocie nabyć nieco ciekawych rzeczy. Oczywista, tak ja, jak i p. Kopera, mieliśmy odmienne wytyczne w poszukiwaniach. — Jemu chodziło głównie o pamiątki, mające wartość kulturalno-historyczną. Lwowskie Muzeum przemysłowe obejmuje z natury rzeczy zakres szerszy. Szukałem więc w pierwszym rzędzie wzorowych okazów przemysłu artystycznego, jak meble, których we Lwowie jest mało.

Kupiłem tedy poza aukcyą 7 sztuk mebli większych i mniejszych z XVIII. wieku, rozmaitej proweniencyi (francuskiej, niemieckiej i angielskiej), w rozmaitych technikach wykonane, rzeźbione i ozdobione markieteryą. Natomiast drowi Koperze udało się nabyć zegar poznański, roboty XVII. wieku, kasety, okute mosiądzem i żelazem, skrzynki, zamki, kołatki i t. p. Zakupiony dla Krakowa wazon fajansowy, warszawskiej roboty, t. zw. b e l w e d e r, z XVIII. w., będzie perłą jego zbiorów.

Akcya nasza była pierwszą próbą wspólnej działalności obu muzeów polskich i wydała też plon bardzo korzystny dla obu instytucyi. Za naszym przykładem powinny pójść w przyszłości i inne muzea i występować wspólnie przy tego rodzaju sposobnościach za granicą. — *Vivant sequentes!*

Na koniec dodam, że przedmioty zakupione będą na próbę razem wystawione w Krakowie, dokąd już prawdopodobnie nadeszły. Wystawa w Krakowie odbyłaby się jeszcze podczas świąt, albo conajmniej z końcem bieżącego miesiąca. Następnie urządzi się wystawę we Lwowie, poczem rozdzielimy plony naszej podróży pomiędzy oba muzea.

WŁADYSŁAW STRONER
kustosz Muzeum przemysłowego.

Rzecz o błaznach.

Zdarzyło mi się przed niewieloma tygodniami widzieć w Wiedniu nadzwyczajnych błaznów, którzy doprowadzali publiczność do spazmatycznego śmiechu. Byli to klowni muzykalni. Nazywali się Antonett i Grock. Urodzeni lirycy, których życie nauczyło wyśmiewać uczuciowość. Więc Antonett i Grock mszczą się za to i na wszelkiej powadze, i na patosie, i na frazesie okrągłym a szykownym, a pysznym, a dumnym, na ceremonialności, na zachwycie!...

Grają. Antonett w dobrze skrojonym fraku, blady od kredy z jedną czarną fantazyjnie wzniesioną brwią nad lewym okiem, gra na skrzypcach. Skrzypce jego śpiewają. Publiczność zapomina w jednej chwili o błaźnie, cała się obraca ku skrzypcowej pieśni, która niespodzianie zadźwięczała i przedziwnie uroczo-wysoko polata. Na fortepianie akompaniuje tej pieśni drugi błazen, Grock. Pierwsze jego uderzenie świetnie harmonizuje ze śpiewem violinu, ale już w drugim takcie coś się psuje. Akompaniament, który jest tem w muzyce, czem posadzka w tańcu, zaczyna wyrażać swój zachwyt dla melodyi. Unosi się, wykrzykuje, współśpiewa! Gdyby posadzka zapragnęła tańczyć razem z tancerzami, tańczący musieliby taniec przerwać. Byłby to najzabawniejszy w świecie powód przerwania pląsów, ale byłby to zarazem powód bezapelacyjny. Antonett przestaje grać śród szalonego śmiechu publiczności. Melodya jego skrzypiec, melodya istotnie porywająco poetyczna, została przedrzeźniona, skarykaturowana przez akompaniament.

Znów zaczynają grać. I znów akompaniament zrazu zachowuje się przyzwoicie. Ale po liryczniejszym frazesie skrzypiec, akompaniator tak się czuje podniecony, że podbija melodyę skrzypcową, przewyższa w ekstazie jej serdeczne wyznanie, pędzi na klawiszach aż poza klawisze i uderza łapą w metafizyczny ton... na podłodze. Ten niemy ton się słyszy! Jakże jest wybornie znaleziony! Ale tak już jest przesadnie głęboki, że wybuchamy śmiechem. Błazen Grock daje karykatury muzyczne świetniejsze, niż Sichulski, Protaszewicz, Sem, Heine (z „Simplicissimusa") rysunkowe. „Narodziny komedyi z ducha muzyki" pomyślałem, przypominając sobie nietzscheańskie „Narodziny tragedyi"...

Nie będę opisywał szczegółowo nieporównanego karykaturowania mowy tonów przez Grocka, dodam tylko jeszcze, że w końcu udało się Antonettowi uwolnić od nieznośnego przyjaciela, a wówczas zagrał. Zagrał, jak mistrz. Słuchaliśmy go w zachwycie. Gdy skończył, burza oklasków zakotłowała na sali. Znaczyła ona: dlaczego jesteś błaznem, mogąc być wirtuozem? Na scenie kłaniał się Antonett, którego wiśniowe usta na kredówo-białej twarzy odpowiadały uśmiechem zakrojonym w słowa: „Trzeba być błaznem, aby zmusić tłum do uznania w sobie wielkiego artysty".

* * *

Później byłem w Tryeście. Jest to miasto, gdzie teatr nie grywa codziennie, więc pewnego wieczora poszedłem do cyrku.

W pierwszej części programu numer siódmy zapowiadał: *I tre gobbi,* scherzo comico.

Wypadło na arenę trzech klownów w czarnych tużurkach i w twardych filcowych kapeluszach na głowach (t. zw. melony). Wszyscy trzej garbaci. Najwyższy średniego wzrostu, drugi niziki, trzeci zupełnie mały. Wypadli przy dźwiękach skocznej, niezwykle rytmicznej muzyki. Prowadził najmniejszy.

Promienieli radością życia. Głowy podniesione, kapelusze zlekka zbakierowane, w lewym oku monokle. Stanęli rzędem. Wśród żywej, nonszalanckiej, powiedziałbym szykownej gestykulacyi, jęli śpiewać jakąś anakreontyczną piosenkę. Oburzające!

Zawsze mi się wydawało, że brzydkiej dziewczynie nie wypada być wesołą. Tembardziej garbusowi. Radość przystoi pięknym! Posiadając normalne serce i mózg, ci trzej garbaci zdawali się zapominać o swych nienormalnych plecach. Tak się zachowywali na świecie, jak gdyby i dla nich jasno świeciło słońce, jak gdyby i dla nich pachniały róże, jak gdyby i dla nich Bóg zsyłał na ziemię urocze dziewczęta! Cieszyli się! Beztroską uciechą brali najmilszy udział w życiu.

Czyliż w ich duszach nigdy nie postały owe rozdzierające, jak ostry krzemień, myśli garbatego Ryszarda III, gdy jeszcze był książęciem Gloucester?:

Lecz ja do skocznych nie stworzony tańców,
Do podziwiania twarzy mej w zwierciadle,
Lecz ja, miłości pozbawiony wdzięków,
Abym przed lekką pawić się mógł nimfą,
Lecz ja, odarty z pięknych ciała kształtów...

Wesołe garbusy! Może uwierzyli bajce, że ich garby są niepozorną szkatułą skrzydeł? Może te skrzydła czuli? Może niemi poruszali w garbach? A może w strzelistej miłości własnej mniemali, że ich garby są ozdobą?

Stendhal maluje mistrzowskiem piórem wizerunek garbatego Donżuana. Szekspir rzuca przed nasze oczy z zuchwalstwem geniusza scenę, w której jej garbus uwodzi młodą kobietę nad trupem jej ukochanego męża, zamordowanego przez tegoż garbusa („Ryszard III" akt I, scena 2-a). Ten jeden szekspirowski przykład już wystarcza na dowód, że garb nie przeszkadza w miłości, a codzienne wydarzenia nawet świadczą, że garb w miłości jest wybornym swatem. Więc i dla garbatych słońce jasno świeci i rozwijają się dla nich przepyszne kwiaty na prostych łodygach!

Nie ulega wątpliwości, że tak jest istotnie.

Ale niemniej widok kilku garbusów, pełnych *joie de vivre*, szykownie ubranych, wyperfumowanych, zalecających się do pięknych kobiet, mówiących o sporcie, unoszących się snobistycznie nad zręcznością np. akrobatów, widok kilku takich garbatych, wodzących rej na terenie jednego salonu, może pobudzić do szalonego śmiechu.

Śmiech to przecież grzeszny, i co gorsza, nierozsądny.

Któż to na tej ziemi jest bez garbu? A iluż z pośród nas zdaje się brać swój garb za ozdobę, za szkatułę skrzydeł, i paraduje tym garbem!

Grzesznie i nierozsądnie śmiałem się w tryesteńskim *Teatro Felice* na widowisku *Grande Circo Equestre italiano* podczas siódmego numeru programu. Bezwstydnie chełpiący się garbami *I tre gobbi* uczyli sokratesowego przykazania: „Poznaj swój garb" i dodawali po Talleyrandowsku: „A skoroś go znalazł, to go ukryj". Śmiałem się, ponieważ patrzyłem na błaznów. Gdy mój wzrok upadł na piasek areny, spostrzegłem niewidzialną ręką wypisaną prawdę: „Każdy jest błaznem, kto się swym garbem raduje".

WACŁAW GRUBIŃSKI.

ELEKTRYCZNOŚĆ A KSIĄŻKA.

Trochę sentymentalne spostrzeżenia.

Miasto wre. Niema czasu na czytanie, jeszcze mniej na myślenie. Żyje. W małych dawkach otrzymują ludzie wiadomości o świecie i ziemi, teraźniejszości i przeszłości. Ludzie się uczą i zapominają. W wielkiem mieście niema gwaździstego nieba. Jeśli się kiedy wyjedzie na wieś i ujrzy zasiane gwiazdami sklepienie niebios— dziw ogarnia.

Miasto płonie. Setki i tysiące lamp i świateł. Wielkie, jaskrawe węże świetlne pełzają wzdłuż domów, pną się po dachach, krzyczą w noc reklamowemi tablicami: Najlepsza herbata na świecie! Najlepsze sukno! Najlepsze cukierki! We mgle snują się tysiączne światełka i wiążą się w nazwiska i rzeczy.

Tam biegną oświetlone wozy elektryczne. Tam żarem elektryki migocą oczodoły automobilu. Tam płoną oddrzwia kinematografów, w których sensacyjny dramat z taką prędkością można przełknąć, jak kieliszek likieru w barze.

Miasto czuwa do późna. Po ulicach krążą tłumy. Poświęcają sen, by się podniecić nerwowemi przyjemnostkami wielkomiejskiemi.

Długie, spokojne wieczory znikły. Lampa z knotem, świecąca ludziom, spokojnie siedzącym w domu przy cichej pracy, znika z handlu. Jeśli gdzieś siedzi uczony człek przy swej staromodnej lampie i gruntownie, poważnie czyta książkę — chapeau bas! ale wielkie miasto nie uznaje go za swego. Książka, którą zgłębia, stała się już przedmiotem bardzo nienowoczesnym. Mój Boże! 500 stron... Na to nie mamy już czasu! Jeszcze prawa i medycyna — no, to uchodzi. Ale literatura, filozofia, estetyka? Nie. Czas niema czasu czekać — mknie.

*

W mojej bibliotece mam kilka starych książek. Takie, z których jeszcze dziadkowie czytali. Ale jak czytali! Patrz, tu jest kilka ustępów, zakreślonych ołówkiem. Tam piękną jakąś myśl uwydatniono wykrzyknikiem na marginesie. Tu znowu skromna uwaga, że czytający nie zgadza się z autorem. Tam na końcu książki kaligraficznem pismem wystylizowana podzięka dla autora za chwile cichej rozkoszy. Ba, nawet do jednej książki dodany jest mały zeszyt, w którym czytający zapisywał swe uwagi.

Był to czas książki. Czas, w którym książka była najwytworniejszym środkiem konwersacyi. Kiedy książka była suwerenem, któremu winnym się było posłuszeństwo i względy.

Spróbuj teraz tak czytać! Jak ci życie przeszkadzać będzie! Czujesz, jak wokół ciebie kotłuje i wre miasto. Głosy dolatujące cię mącą skupienie. Od biedy przyzwyczaisz się do krzyku wielkomiejskiego — lecz nie oprzesz się utajonym głosom, nęcącemu wołaniu, które cię ciągnie... Jeśli chcesz dziś z żywymi iść naprzód— usłyszysz w głosach, dolatujących cię z szumu wielkomiejskiego — nie obierz drogi, wiodącej poprzez ciężką, poważną książkę. Czas ten minął. Czas salonów minął. Damy nie cytują więcej pięknych wierszy na pamięć. Obierz inną drogę: sport, interes, politykę. Albo zostań inżynierem lub elektrotechnikiem.

*

W jednej ze swych książek opisuje Wiktor Hugo wrażenia, jakich doznawał proboszcz ko-

ścioła Notre Dame, uczony Claude Frollo, kiedy ujrzał pierwszą drukowaną książkę. Stał pewnego wieczora koło okna na górze wieży, gdzie wiatr huczy w wielkich dzwonach i patrzał na Paryż. Z rozkoszą spoglądał na wspaniałe budowle, ścielące się dokoła. Wieże i kopuły wznoszą się majestatycznie ku górze. Dają dowód starej kultury. Teraz kwitnie, myśli uczony archidyakon, architektura o wiele intenzywniej, jak kiedykolwiek. W tych działach wyraża się dusza ludzka...

Wtem otwierają się drzwi. Odźwierny kościelny wchodzi i donosi, że z daleka przybył posłaniec i ma zlecenie od Gutenberga. Proboszcz przyjmuje posłańca, który mu wręcza pierwszą drukowaną książkę. Proboszcz bierze do ręki tę małą, prostokątną rzecz. Otwiera ją i czyta. Czyta długo, bada tę nową sztukę, którą wynalazł przyjaciel jego Gutenberg. Potem popada w zadumę i wodząc ręką po horyzoncie, na którym rysują się sylwety monumentalnych gmachów Paryża, mówi powoli i z naciskiem:

— Ta oto rzecz zabije tamto... Sztuka drukarska zabije architekturę!

*

Archidyakon Claude Frollo miał racyę. Przepotężna mowa sztuki budowlanej, brzmiąca ku nam zarówno wymową pomników z epoki kamiennej jak i wieczną chwałą egipskich olbrzymów — ta mowa staje się coraz cichszą...

W miejsce jej rozgadały się tysiączne języki drukowanej książki. Wiek dziewiętnasty był stuleciem książki.

Długo panowała książka.

Aż nagle wpadła między biblioteki — elektryka!

*

Niespodzianie zjawiła się i zmieniła odrazu oblicze świata. Z olbrzymią szybkością zdobyła sobie władzę.

Trzydzieści lat temu. Co za znaczenie miała jeszcze wówczas książka i ten, kto ją studywał! Student stanowił *sui generis* wyższą kastę ludzkości. Poza tą kastą był: kupiec... twór niższego rzędu, rzemieślnik... coś jeszcze niższego.

A teraz? Teraz wartości grubo się zmieniły. Studyowanie „książki dla książki" nikomu nie daje tytułu do dumy i wywyższania się. Teraz praktyczne życie włada nad wszystkimi. Handel rozwinął się olbrzymio; w ślad za nim idzie używanie i zbytek; świat, istniejący poza światem książkowym, wzywa wszystkich, co mają energię i talent...

Dawniej tylko „nicponie" szli w świat daleki („nicponiem" był wtedy w „lepszych" rodzinach chłopak, który nie chciał czytać książek). Nie idzie on — mówiono — „dobrą drogą", kiedy zaniedbuje książki i patrzy w świat.

Teraz rodzina go odprowadza na kolej lub do portu, a po kilku latach mówią rodzice z dumą: „Naszemu chłopakowi wiedzie się znakomicie... jest elektrotechnikiem firmy Smart & Co. w Singapore... co za szczęście, że zawczasu przestał ślęczeć nad książkami"...

Ale i teraz chodzi jeszcze niejeden „pilny młodzieniec" z ładunkiem teoretycznej wiedzy i dziwi się, że mu się nic nie udaje w świecie. Poczciwy ojciec martwi się w cichości, dlaczego też syn, taki pilny przecież i tak oczytany, nie robi karyery. Poczciwy ojciec liczy się jeszcze z wartościami, które były w użyciu za jego młodych lat. Nie rozumie tego, że wartości te się zmieniły. Uczoność wielkiej, cichej książki traci rangę i znaczenie.

Tak, pomimo tysięcy drukowanych książek skończyły się czasy wielkiej, cichej książki! Przez czas jakiś jeszcze dziennikarstwo, młodszy, lekkomyślny brat książki, będzie kroczyło szybkimi kroki naprzód. Lecz któż wie, jak długo? Boć przecież w kraju, w którym dziennikarstwo doszło do najwyższego stopnia rozwoju, w Ameryce — poczynają żywe obrazy, ilustrujące zdarzenia codzienne, wypierać drukowane słowo. A cóż będzie za lat pięćdziesiąt?

BERTOLD MERWIN.

UMARŁA BAJKA.

Będziemy cudną układali bajkę.
Dobrze? „Zbyt szare dziś jest nasze życie".
Szarość jest poto, ażeby ją złocić.
Dlaczego na mnie z wyrzutem patrzycie?

Gdzie jest poczciwy. stary król? „W szpitalu.
Jego purpura na gałęzi wisi."
To się obejdzie bez króla. Dlaczego
Stoicie tacy zasmuceni, cisi?

Możeście chociaż drzewo śpiewające
Widzieli? „Leży zrąbane w drewutni".
Więc go nie będzie. Choćby go nie było,
To cóż stąd? Czemu znów jesteście smutni?

Czy nie spotkaliście nigdzie wesołych
Koboldów? „Poszli szukać sobie pracy".
To ich nie trzeba. Znów na mnie patrzycie
Ze żalem. Czemu dziś jesteście tacy?

Dajcież choć zegar, co tylko godziny
Szczęścia wybija! „On już od lat stoi".
Więc sobie radzić będziem bez zegaru.
Czemu jesteście smutni i nieswoi?

Czas już najwyższy posłać po królewnę.
Co ona robi? „Ma męża i dzieci".
Czemu płaczecie? Tego się nie zmieni
Tą łzą, co w oczach, jak chłopcom, się świeci.

A gdzie jest grajek, co ją kochał? „W winie
Łzy topiącego widzieliśmy grajka".
Ja was przepraszam bardzo. Nie wiedziałem,
Że się już wskrzesić nie da nasza bajka.

STANISŁAW MAYKOWSKI.

MAŁYM BYŁ W POLSCE, WIELKIM NA ŚWIECIE.

Przytoczę list, nad którym wczoraj długo i poważnie myślałem, choć list nie jest wcale smutny, a jego zżółkłe literki śmieją nim jeszcze teraz do czytelnika, tak, jak kiedyś, przed pół wiekiem śmiały się do adresata. (Był zaś zasłużony, i na niedolę braci literackiej tkliwy księgarz lwowski Karol Wild). List datowany z Wiednia, z 19. września 1850:

...Cieszę się, drogi Karlosie, że znalazłem sposobność, aby Cię serdecznie pozdrowić. Pańska tragikomiczna słodko-kwaśna epistoła szczerze mię rozbawiła; widocznie nic Pan nie stracił ze swego dawnego wesołego łobuzostwa. Proszę uściskać odemnie moich lwowskich przyjaciół! Mógłby tam z nich który do Wiednia przyjechać. Lwowianie przyjeżdżają do Wiednia tylko od wielkiego święta, a jak już kto przyjedzie to albo hrabia, albo jakaś inna filisterska dusza.

Wiedzie mi się teraz — świetnie! Na przyszły rok znowu podwyższono mi gażę o 500 fl. m. k., a nadto dostanę c. k. stabilizacyę. Istotnie o tak szybkiej karyerze nie śmiałbym był marzyć!!

W tych dniach wyjeżdża na gościnne występy do Lwowa pani Beckman. Z pewnością rozogni ona nie na żarty waszą młodzież... Gdybym nie znał Pańskich niewzruszonych zasad moralności, zaprawdę bałbym się o waszą, Karolku, cnotę:

Do zobaczyska! Proszę mnie zachować w przyjaznem wspomnieniu i czasem się oderwać, jeśli Pan będzie miał do wybo u między śmiertelną nudą a napisaniem listu.

Szczerze oddany
Bogumił Dawison.

Wiecie, kto był Dawison?

Za parę tygodni upłynie czterdzieści lat od jego śmierci. W Niemczech przyrównał ktoś nawet, przypominając tę datę, Dawisona do Garricka i Talmy i przyznał mu niespożyte zasługi dla reformy sztuki aktorskiej. Jeszcze zaś dawniej powiedziano, że tę wielką sławę i nieskończone przez 30 lat laury na obu półkulach dała Dawisonowi najważniejsza cecha jego aktorskiego talentu: *polnische Furie*...

Dawison, warszawski żydek z Nalewek, ale szczery do końca Polak, połowę życia spędził w kraju i był wtedy przepisywaczem aktów, malarzem szyldów, korektorem, tłumaczem a wreszcie źle używanym znienawidzonym aktorem.

Drugą połowę zaś spędził za granicą.

I wtedy stał się najgłośniejszym talentem scenicznym swej epoki, najlepszym wykonawcą tragicznych ról klasycznego repertuaru...

W Polsce tułał się po teatrach i teatrzykach prawie nieznany — na świecie miało sławę złoto i kwiaty...

Czyż mogło być inaczej? To jest przecież takie nasze, takie niewyjątkowe, wszak to ten szablonowy *szimmel* w biografiach różnych polskich wielkich ludzi....

Dlatego długo zamyśliłem się wczoraj, wydobywszy ten list ze starych szpargałów.

* * *

Za granicą pisano o Dawisonie książki i broszury, historycy sztuki aktorskiej, będzie to Devrient, Reich, czy Laube stronnice całe mu poświęcają. U nas zaś długo szukać trzeba, chcąc się czegoś o Dawisonie dowiedzieć. Coś nie coś w starych rocznikach „Kłosów" pisał o starym koledze Królikowski, to i owo podał Pepłowski w swoim pożytecznym i sumiennym „Teatrze polskim we Lwowie" (1780—1881).

Urodził się w Warszawie r. 1818. Musiał to być chłopak sprytny, skoro naprzepisywawszy się aktów i naroznosiwszy gazet dostał się wreszcie do redakcyi „Gazety warszawskiej". Dobrzy ludzie wepchali go do teatru, a nieoceniony aktor i nauczyciel Bonawentura Kudlicz zaczął uczyć począt ów sztuki aktorskiej. Połapawszy coś nie coś odważył się na debiut w jakiemś sentymentalnem sztuczydle, potem zaś w „Mężu i żonie" Fredry. Były to role kochanków, a do nich Dawison nie miał ani powierzchowności ani temperamentu, więc próba się nie powiodła. Ambitny chłopak rzucił teatr i Warszawę i pojechał do Wilna. Było to w r. 1837, Dawison miał lat siedmnaście. W Wilnie szło już nieco lepiej, cóż kiedy tam znowu w r. 1840 teatr się rozleciał. Wrócił do Warszawy raz jeszcze szczęścia spróbować i znowu nic nie wskórał. Zostawał Lwów i jego głośny na całą Polskę mecenas teatru, Fryderyk Skarbek.

Istotnie stary arcymądry dziwak poznał się na Dawisonie i zaczął go popierać, mimo, że nowy aktor nie znalazł uznania u pewnej części prasy i publiczności. (Jakoż bowiem przystało żydowinowi z Nalewek teatrum lwowskie plugawić?...) Protekcya Skarbka szła tak daleko, że z czasem, nie bacząc na to co powie prasa i *societa*, odebrał staremu i ulubionemu Benzie reżyseryę, a oddał ją Dawisonowi. Można sobie wyobrazić ile złej krwi zrobiła ta niespodziewana nominacya. Dwudziestopięcioletni chłopak — reżyserem zgromadzenia, które liczyło razem parę tysięcy lat, przełożonym Smochowskich, Benzów, Nowakowskich!!

W dziennikach, za kulisami, na widowni zaczęto go nagle nienawidzieć. Miano mu za złe, że grał równocześnie czarne charaktery amantów i lekkoduchów, że był opryskliwego usposobienia. Sypały się kwiaty na staruszka już niedołężnego Benzę, zaś psykania, docinki i paszkwile na nieproszonego przybysza.

Jeden tylko istotny nietakt popełnił Dawison: oto z rozpaczy i niepowodzenia występował nieraz gościnnie na lwowskiej scenie niemieckiej, a tego wówczas czynić Polakowi nie godziło się.

Mimo stałej przychylności Skarbka, który dał Dawisonowi stypendyum na podróż artystyczną, wszystkie te okoliczności, a nadto liczne zajścia z aktorami, uniemożliwiły mu pracę na scenie lwowskiej. W sezonie zimowym r. 1846 już go we Lwowie nie było. (Wrócił tylko raz jeszcze później do naszego miasta w r. 1849 aby się ożenić z artystką Wandą Starzewską i wtedy też gościnnie wystąpił).

* * *

Jakżeż inaczej potoczyły się koleje życia Dawisona, gdy się tylko znalazł poza granicami Polski! Po kilku miesiącach skoro tylko dał sobie radę z dykcyą niemiecką, wysunął się odrazu w Hamburgu jako pierwszorzędny, znakomity talent. Całe Niemcy rozbrzmiały sławą Dawisona. Okrzyknięto go w zapale pierwszym wielkim nowożytnym artystą, największym tragikiem XIX wieku. Wraz licytować się poczęły sceny niemieckie o tego marnego we Lwowie aktorzynę. Berlin wystąpił z niesłychaną naonczas sumą 2000 tal. rocznie, Monachium, Frankfurt... Dawison został w Hamburgu.

W r. 1849 udało się wiedeńskiemu Burgteatrowi z wielkim wysiłkiem finansowym pozyskać dla siebie Dawisona. Z kolei Wiedeń, potem znowu Drezno i Monachium szalało z zachwytu, patrząc na sznur pysznych kreacyi, które rozwijać począł Dawison, grając, „jak nikt przed nim i nikt na długo po nim“ Otella, Hamleta, Antoniusza, Mefista, Franciszka Moora, Makbeta, Szyloka, Skąpca, Karlosa!

Dawison zreformował niemiecką sztukę aktorską!

Wnosił — mówiono wówczas — nieznany dotąd realizm do ról swoich i nadawał im nową, nieznaną dotąd siłę. Targał zuchwale tradycye klasycyzmu, wyrzucił ze sceny patos, a odsłaniał nowego człowieka i prawdę życia. W kreacyach jego była jakaś demoniczna potęga, płynąca z jego ognistej organizacyi ducha i udzielająca się wszystkiemu, co go otaczało! Ta właśnie,.. *polnische Furie...*

Syt był Dawison wkrótce sławy kontynentu. W roku 1862 odbył podróż do Ameryki, podróż tryumfalną po kwiatach i dolarach. Grał przez parę miesięcy dzień w dzień, upojony jak w śnie, jak w gorączce. Do Europy wrócił wyczerpany, w rozstroju nerwowym, który go wreszcie doprowadził do obłędu. W obłąkaniu przeżył jeszcze trzy lata i umarł w r. 1872 w Dreźnie.

*

Niedługo przed śmiercią odwiedził raz jeszcze Warszawę. Grał „Zbójców“ po niemiecku i „Matkę rodu Dobratyńskich“ po polsku.

„Tłumy się zbiegły — pisał wtedy jeden z dzienników — aby powitać i uczcić artystę-rodaka, który do swojego świetnego wieńca, uwitego przez całą Europę, zapragnął dołączyć kwiatek rodzinnej niwy...“

O ty rodzinna niwo! Jaka ty zawsze jesteś jednakowa i ile masz takich Dawisonów na sumieniu!!

STANISŁAW WASYLEWSKI.

Wieże.

Smugi ozimin leżą jak wyraje
tych zieloności, co z gałęzi lśniły.
Szron już zaprósza te wiosenne kraje,
te wonne barwy, co się zawaliły.

Dziś wielkie święto przewrotów i zniesień
kolor nadziei w drzewach już nie staje.
Ostatnie liście osądziła jesień,
ostatnie ptaki lecą w obce kraje.

A tam, w oddali — czy się pomylono?
Tam ruń kwietniowa wsnuła się w błękity...
Nie, to nad miastem świecą tak zielono,
patyną miedzi świecą świątyń szczyty.

Jedyne w świecie zachowały zieleń,
i męskie serca noszą całe życie,
nie znają gwałtu zimowych przewcieleń —
o, wieże, wieże, śnie mój na błękicie!

LUDWIK EMINOWICZ.

ZE WSPOMNIEŃ O MINISTRZE DUNAJEWSKIM.

(Ordery w dezynfekcyi. — Jak stanąć przed cesarzem bez orderów? — Taaffe bez spodni. Pożyczone ordery, pożyczone spodnie. — Monarcha a niedyskrecya delegatów. — Organizacya sprawozdań o przemówieniach cesarza. — Ciekawy wywiad u Dunajewskiego. — Rozczarowanie dziennikarza. — Ostatni parlamentarny występ Dunajewskiego.)

P. Józef Peniżek, jeden z najwybitniejszych publicystów czeskich, który za parę tygodni będzie święcił trzydziestolecie swojej pracy dziennikarskiej w „Narodnich Listach“, pozwolił nam uprzejmie ogłosić ze swoich nie wydanych dotychczas pamiętników, epizod, dotyczący śp. Juliana Dunajewskiego. Pamiętniki p. Peniżka są bardzo cennem źródłem informacyjnem dla historyi Austryi i zawierają mnóstwo szczegółów o wybitnych politykach czeskich. Część pamiętników wyszła już drukiem w r. 1905 w języku czeskim i niemieckim pt. „Aus bewegten Zeiten“. Niektóre ustępy z tej publikacyi przedrukowały już dzienniki polskie. W niewydanej dotąd części pamiętników znajdują się ustępy o śp. Dunajewskim. Jeden, podyktowany przez samego Dunajewskiego, drugi przez eksc. Korytowskiego, trzeci zaś ustęp podajemy poniżej w tłumaczeniu.

Redakcya.

...W roku 1892 delegacye obradowały w Budapeszcie w październiku, gdy właśnie cholera szalała się tam najsrożej. W austryackiej delegacyi brał też udział dr. Julian Dunajewski, który w lutym poprzedniego roku ustąpił ze stanowiska ministra finansów.

Na dworcu zdarzył mu się po przybyciu przykry wypadek. Zarzucono mu gdzieś szkatułkę z orderami. Stało się to podczas dezynfekcyi, której poddawano wszystkie rzeczy podróżnych. Także i ową szkatułkę umieszczono w aparacie i gdzieś potem zapodziano. Znalazła się i została zwrócona Dunajewskiemu, gdy już było po mowie tronowej. Dunajewski chciał już bez orderów jechać do zamku królewskiego dla wysłuchania mowy tronowej:

„Cesarz wie i tak, jakiemi odznaczeniami mnie zaszczycił“.

A hrabia Taaffe, któremu Dunajewski zwierzył się ze swego kłopotu, odpowiedział:

„To jest znowu niepotrzebne, ktoś panu będzie mógł przecież pożyczyć tutaj orderów“.

Hrabia Taaffe nie był na „ty“ z Dunajewskim, chociaż publicznie w parlamencie mówił o nim jako o swoim „najbliższym przyjacielu“, podczas gdy hr. Franciszek Thun i dr. Kaizl, br. Beck i dr. Pacak mówili sobie „ty“.

„Kto tu ma takie ordery?“

„Kto? Tisza, (Koloman Tisza, prezydent ministrów). Ten panu swoich orderów pożyczy. Pan mu je potem zwróci jeszcze w zamku królewskim w Budzie, by miał czas je przypiąć zanim wejdzie do sali tronowej“.

W Wiedniu wygłasza cesarz mowę tronową najpierw w węgierskiej, w Budapeszcie w austryackiej delegacyi. Prezydentowie ministrów przedstawiają monarsze nieznajomych mu członków.

„Mnie wyratował Tisza raz z o wiele przykrzejszej sytuacyi“ — opowiadał hr. Taaffe. — Jadąc gdziekolwiek, nigdy nie troszczę się o swoją garderobę, bieliznę i tym podobne drobiazgi. Irma, (hrabina) zawsze mi wszystko przygotowuje i pakuje. Przyjeżdżamy do hotelu („pod królową angielską“), kamerdyner otwiera kufer i woła na cały głos:

— Jezus, Marya!

— Czego krzyczysz — pytam go. — Czy tam jest może bakcyl choleryczny w postaci jadowitego węża?

— Z przeproszeniem ekscelencyi, odrzekł służący, krzyczę nie z powodu tego, co jest w kufrze, ale z powodu tego, czego w nim niema.

— A czegoż tam niema?

— Spodni ministeryalnych ekscelencyi.

— Co było robić? Irma zapomniała je zapakować. A mam ich aż trzy pary. Telegrafować było już zapóźno. Pan mógłby ostatecznie przyjść na zamek i bez orderów. Ale ja przecież nie mogłem pokazać się — bez spodni. Do piorunów! Sprawa była trudna. Nie wypadało mi przecież usprawiedliwić się przed cesarzem, że nie mogę być obecnym podczas mowy tronowej, bo nie mam ze sobą spodni do munduru ministeryalnego. Tem mniej mogłem się poskarżyć na żonę, że mi spodni nie zapakowała. W tym kłopocie przypomniałem sobie mego węgierskiego kolegę. Może Tisza ma dwie pary spodni ministeryalnych! I tak było istotnie. Tisza pożyczył mi parę spodni. Nie mogę powiedzieć, by leżały, jak ulane, ale „lepszy rydz, jak nic“.

Dawniej zwykł cesarz rozmawiać po mowie tronowej ze wszystkimi członkami delegacyi. Te rozmowy budziły też często większe zainteresowanie, niż sama mowa tronowa. Delegaci informowali czasem dziennikarzy o tem, co do nich cesarz powiedział, zwłaszcza, jeżeli dodał: „Pan może to zużytkować“, lub też: „Proszę to podać do publicznej wiadomości“. Nieraz jednak gniewał się monarcha, gdy się jakieś dyskretne, w zaufaniu powiedziane słowo jego znalazło potem na łamach dzienników. W roku 1903 wyraził się np. cesarz tak do ówczesnego szefa gabinetu, dr. Koerbera:

„To jest przecież bardzo dziwne. Każdy zwykły śmiertelnik może zresztą ze swymi gośćmi rozmawiać o sprawach interesujących go i wypowiedzieć się *in camera caritatis*, a przecież nikt nie trąbi tej rozmowy po całym świecie. Tylko ja nie mogę swobodnie mówić! Odtąd nie będę już więcej rozmawiał z delegatami o polityce — oni zaraz każde moje słowo umieszczają w dziennikach“.

Wiele tu zależy od taktu delegatów, a jeszcze więcej od taktu dziennikarzy. Ci muszą być politykami. Dziennikarz musi wyczuć, czy wskazane jest ogłaszać wszystko, co mu się powie. Czasem nawet musi się zdobyć na odwagę, i powiedzieć posłowi czy delegatowi: „kochany panie, tego nie zamieszczę, toby mogło i panu i samej sprawie tylko zaszkodzić.

Sprawozdania z wypowiedzeń cesarza wobec delegatów zorganizował dopiero w ostatnich latach w sposób właściwy radca cesarski Emanuel Singer, były szef biura prasowego „Zjednoczonej niemieckiej lewicy“, a obecny sprawozdawca parlamentarny dziennika „N. W. Tagblatt“. Mianowicie każdy z delegatów otrzymuje kowertę, w której wysyła potem własnoręcznie spisane sprawozdanie z rozmowy z cesarzem. Rękopis delegata staje się następnie wspólną własnością wszystkich dziennikarzy; każdy z nich odpisuje sobie potem informacye, które go interesują.

W roku 1892 nie było jeszcze tego urządzenia. Rozdzieliliśmy więc delegatów między siebie na grupy równe co do liczby i wypytywaliśmy każdego z osobna. Potem schodziliśmy się razem i wymienialiśmy wzajemnie nasze sprawozdania. Mnie przydzielono wtedy dziesięciu delegatów, a między nimi dr. Dunajewskiego.

Dunajewskiego odszukałem w hotelu „Hungaria“ na kurytarzu przed salą, w której obradowała komisya budżetowa.

— Co też pan robi w Peszcie? — zawołał, wyciągając ku mnie obie ręce.

— Przyjechałem jako sprawoz[illegible] gacyjny.

— Aha, pan przywiózł dobr[illegible] ne mowy! Czy też je panu takż[illegible] cyonowano, jak mnie ordery? [illegible] ro nieszczęście, gdyby one tak[illegible]

te moje ordery. Proszę tylko dobrze uważać, żeby nie skwaśniały. Rzeczywiście jest teraz za gorąco na nie. (Październik 1892, był niezwykle ciepły).

— Proszę się nie obawiać, ekscelencyo, mowy zostaną dopiero tu sfabrykowane, bę ą więc całkiem świeże. A jakże się powodzi ekscelencyi *procul negotiis*?

— Ah, pan pewnie chciał powiedzieć: na wolności? Czuję się pysznie, jak nowonarodzone dziecko.

— Chętnie temu wierzę. Gdzieś raz czytałem, że każdy mąż stanu, żeby nawet nie wiedzieć jak długo pełnił swój urząd, dożywa przecież chwili, w której go ogarnia nieprzezwyciężona tęsknota; tęsknota za emeryturą.

— Ten, kto to napisał, postawił trafną dyagnozę — widocznie na podstawie autopsyi.

— Muszę się jednak przyznać do czegoś, ekscelencyo. Przypadł mi los w udziele wykonania atentatu na ekscelencyę.

— Pan jesteś coraz bardziej zajmujący. A czem to pan chce we mnie ugodzić?

— Tylko uprzejmą prośbą, aby ekscelencya raczyła nam, sprawozdawcom parlamentarnym zakomunikować to, co monarcha powiedział ekscelencyi. Wobec ministra, który przeszło dziesięć lat dzierżył tekę, który był duszą gabinetu, który zdusił hydrę deficytu i uporządkował finanse państwa, wobec ekscelencyi Najjaśniejszy Pan pewnie...

— Czy pana rzeczywiście zaciekawia to tak bardzo, co do mnie monarcha przemówił?— przerwał mi Dunajewski.

— Wyznam, że osobiście nic mnie to nie interesuje.

— Jesteś pan bardzo grzeczny.

— Jestem jednak mandataryuszem i muszę się zastosować do poleceń, jakie otrzymałem na konferencyi moich kolegów.

— Rozumiem to w zupełności i chętnie odpowiem życzeniu pańskiemu, ale tylko pod jednym warunkiem.

— Jakiż to warunek?

— Proszę więc mnie wysłuchać: Ponieważ słowa monarchy dotyczą pewnej damy, jest mojem życzeniem, aby panowie, właśnie ze względu na tę damę, to, co panu zakomunikuję...

— Pewnie... zachowali w tajemnicy? — wtrąciłem.

— Ależ przeciwnie, dosłownie powtórzyli w prasie.

— Ależ, owszem.

— A więc, Najjaśniejszy Pan zapytał mnie: Czytałem w dziennikach, że pańska żona jest chora. Jakże się teraz czuje? Na to odpowiedziałem: Dzięki Bogu, już lepiej. Cesarz dodał jeszcze: Bardzo się tem cieszę.

Wypatrzyłem się na Dunajewskiego po tem oświadczeniu, czekając chwilę napróżno na dalszy ciąg, wreszcie zapytałem:

— Czy to już wszystko?

— Tak, to już koniec — odpowiedział gorżko i z naciskiem.

Postawiony nam warunek wypełniliśmy ściśle.

* * *

Była to ostatnia rozmowa cesarza z Dunajewskim, ostatn zarazem występ znakomitego finansisty w parlamencie.

SPÓR O PORTRET MICKIEWICZA.

(*Fr. Tepa. — Wład. Mickiewicz. — M. Szweycer*).

W r. 1855 [1]) wybrał się Franciszek Tepa za sprawą Adamostwa hr. Potockich do Paryża na dalsze swe studya. Dzięki poleceniom, jakie od nich otrzymał, wszedł młody malarz w towarzystwo najwybitniejszych podówczas ludzi, tak Francuzów, zwłaszcza artystów, jak i Polaków-emigrantów.

Poznał się tam przedewszystkiem z ówczesną paryską znakomitością, Arym Schefferem, który przedtem jeszcze portretował Adama i Adamową hr. Potockich. Między oboma artystami zawiązała się wkrótce nader ścisła i zażyła przyjaźń, która także na twórczość Tepy wpływ pewien wywarła.

Poza tem zaznajomił się artysta w ciągu r. 1856 z przyjacielem A. Mickiewicza, literatem francuskim, Armandem Lévy, a żył stale w stosunkach bliskich z całą paryską Polonią i bywał gościem u ks. Czartoryskich. Malarzy polskich bawiło w tych latach w Paryżu (1855—1860) całe grono; byli więc Antoni i Władysław Oleszczyńscy (rzeźbiarze), Cypryan Norwid, Juliusz Kossak, Leon Kapliński, Polikarp Gumiński, Budkowski, Julian Mackiewicz (litograf), Henryk Rodakowski, Leonard Straszyński, potem Stanisław Chlebowski, oraz dwaj rzeźbiarze, Grabowski i Cypryan Godebski, a nadto Tadeusz Górecki, późniejszy mąż Maryi Mickiewiczówny, córki poety, o którą i Tepa czas pewnie się starał, bawiąc często w domu Władysława Mickiewicza, zawarł z nim bowiem serdeczną znajomość.

Czy Tepa i samego poetę, Adama Mickiewicza, poznał jeszcze w Paryżu, we wrześniu 1855 roku, kiedy autor „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego“ na Wschód, do Konstantynopola się wybierał, jest rzeczą bardzo wątpliwą, gdyż Mickiewicz już w dniu 11. września Paryż opuścił. Według tego jednak, co Tepa opowiadał potem Władysławowi Bełzie we Lwowie, miał artysta widzieć poetę kilkakrotnie w Paryżu, choć nie śmiał się zbliżyć do niego, a sposobność do zawarcia znajomości już się nie nadarzyła.

To pewna, że słynny portret poety, jaki Tepa stworzył, jest utworem malowanym już w czas pewien po śmierci Mickiewicza.

„...Robiłem ja go z całym zapałem artysty i Polaka i chciałem, by jak najwięcej przypominał ten rysunek wielkiego nieboszczyka — zwłaszcza, że widziałem tyle jego portretów — ale żaden niestety mnie zadowolnić nie potrafił — spróbowałem więc i ja go zrobić, pomagając sobie do tego tylko lichym maleńkim dagerotypem, któren dostać mi się udało od jednego przyjaciela P. Adama...“ — pisał Tepa w r. 1856 do Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Ów „lichy, maleńki dagerotyp“, wykonany w r. 1854 przez Michała Szweycera, miał się stać wkrótce dla artysty powodem wielu starć niemiłych i przykrości.

Na wiosnę roku 1856 portret był już zu-

[1]) Wstęp z nieogłoszonej dotąd monografii o Fr. Tepie, opracowany przeważnie na podstawie listów Fr. Tepy, Wł. Mickiewicza i M. Szweycera, udzielonych łaskawie przez p. Teklę Tepową we Lwowie.

pełnie wykończony. W czerwcu tegoż roku pisał Szweycer do Tepy: „...Cieszę się z Tobą, że ci się udał portret jak chciałeś, życzę ci z całego serca, ażeby talent twój był na równi z przedmiotem...“. (Avignon, 23/VI 1856).

Portret ten był wystawiony przez czas krótki w Paryżu, poczem artysta, zrobiwszy replikę, oddał go na własność Mieczysławowi Pawlikowskiemu, a replikę posłał Włodzimierzowi hr. Dzieduszyckiemu, który w listopadzie 1856 r., stwierdzając odbiór tego dzieła i akwarel, przedstawiających sceny ze Wschodu, dziękuje artyście za obraz i pozwala go reprodukować na premię roczną krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Wnet potem powtórzył artysta jeszcze kilka razy ten portret, który nader silne wywarł wrażenie na widzach i w Paryżu i w Polsce. Piękny sztych Lüderitza spopularyzował w krótkim czasie ten niezwykły utwór młodego artysty; premia krakowskiego Towarzystwa witana była wszędzie z gorącem uznaniem, tembardziej, że temat obrazu tak bardzo był aktualny w Polsce całej, która właśnie przyblekła się w żałobę po zgonie genialnego swego, narodowego Wieszcza.

Sam Tepa nie był z sztychu Lüderitza zadowolony, zgromił go za to Lucyan Siemieński w liście, piszą: Niepotrzebnie się gniewasz na sztycharza, bo on jak widział, tak zrobił. W twoim Mickiewiczu nie było tego pewnego charakterystycznego rysu, ale dużo niepewności. Cóż na to Lüderitz miał poradzić?

Pomimo tej uwagi Siemieńskiego stwierdzić tu należy, że „Mickiewicz-Tepy to jeden z tych niewielu prac tego artysty, w której wypowiedział swą duszę, w którą włożyła cały zasób swej technicznej sprawności i szczerego uczucia.

Artysta dał popiersie poety w lewym profilu, a obraz zamknął owalem. Tło ciepłe, z lekka żółtawe, służy do tem wyrazistszego uwydatnienia szlachetnego profilu głowy. Biały miękki kołnierz silnie odcina twarz od reszty biustu, traktowanego już swobodniej. Całą swą uwagę skupił artysta na samej twarzy poety; prof.l regularny, spokojny, oczy, powiekami nieco przysłonięte, patrzą cicho w dal, przed siebie, a bujne siwe włosy spadają w długich kosmykach na kark i szyję, dodając twarzy wzniosłej powagi. Oczy i usta nie mają ściśle określonego wyrazu pewnego zdecydowanego stanu psychicznego; twarz Mickiewicza nie jest taką, jaką była w pewnej chwili, kiedy poeta reagował w sposób prosty na jakieś zewnętrzne podniety; twarz jego na obrazie Tepy jest wypadkową całego szeregu przeżyć psychicznych, sumą tych wszystkich cierpień, zwątpień i nadziei, wszystkich wzlotów myślowych i pragnień, i dążeń i marzeń, jakie złożyły się na ostatnie lata jego życia, spędzonego na służbie jednej wielkiej idei.

W całym portrecie niema jednego rysu nienaturalnego, niczego, coby trąciło sztuczną pozą, niczego, coby niezgrabnie uwydatniało charakter twórcy-poety zapomocą nieudolnie wyrażonego w twarzy poetyckiego natchnienia, co obserwować można na tylu innych wizerunkach A. Mickiewicza.

Rysunek i koloryt, pomysł urzeczywistniony różnorodnymi środkami (akwarela, gwasz, miejscami pociągnięty werniksem i kredka) i uczucie, włożone przez artystę w ten utwór, wszystko to łączy się tutaj w jedną piękną, harmonijną całość i sprawia, że portret ten, tak prawdziwy i podobny, tak wiernie oddający wewnętrzną treść ducha poety, jak i zewnętrzne jego rysy, jest niewątpliwie najlepszym i najpiękniejszym już chyba na zawsze jego wizerunkiem, a zarazem pierwszem wielkiem dziełem Fr. Tepy, najdoskonalszem z tych wszystkich, jakie po rok 1856 w ogólności stworzył.

Sukces, jaki artysta tym swoim portretem w Paryżu i w Polsce całej odniósł, był zupełny. Kilka razy z rzędu musiał Tepa rzecz swą powtarzać, a krakowskie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych zaraz w tym samym roku postanowiło członkom swym rozdać ten portret w sztychu Lüderitza, jako premię, co też rzeczywiście się stało.

Nagle jednak zaszedł fakt dziwny, którego się nikt nie apodziewał: Michał Szweycer, od którego Tepa otrzymał ów mały dagueroty p z obliczem poety, zaczął sobie rościć do obrazu Tepy pretensye... autorskie. Twierdząc mianowicie, że portret Tepy jest tylko powiększoną przeróbką z jego dagerotypu, sprzeciwił się rozpowszechnianiu utworu tego jako premii w sztychu, wtedy właśnie, kiedy rzecz cała była już załatwiona, a sztych odbity i w wielu egzemplarzach rozesłany.

Napróżno tłumaczył się artysta, że plagiatu bynajmniej nie popełnił, gdyż korzystał zarówno ze wszystkich wizerunków Mickiewicza, jakie mu były dostępne, a więc brał pod uwagę tak dagerotyp, jak i medal w „Collége de France“, maskę pośmiertną, biust Dawida d'Angers i statuę Oleszczyńskiego. Szweycer nie ustępował i wytoczył skargę sądową. Wówczas syn poety, Władysław Mickiewicz wyraźnie oświadczył, że Szweycer uzurpuje sobie prawo monopolu portretów poety, co czyni tem bezprawniej jeszcze, że kiedy sporządzał w r. 1854 dagerotyp zobowiązał się na życzenie poety dagerotypu tego w handel nie puszczać.

W liście z dnia 5 maja 1858 r. pisał Władysław Mickiewicz do Tepy: *„Mon Pére s'est laissé une fois par hasard photographier par Mr. Szweycer. Il ne pensait certes pas que Mr. Szweycer mit jamais cette photographie dans le commerce. Aprés sa mort, Mr. Szweycer en vendit des copies... Et voila que l'idée lui est venue de profiter de ces circonstances pour monopoliser a son profit les portraits Adam Mickiewicz, et prelever je ne sais quelle dime sur tous les peintres presents et futurs!... L'émigration entière rit des pretentions de ce pauvre homme...“*

Sprawa była istotnie głośna w emigracyi i w sferach artystycznych Paryża, a trwała ponad trzy lata!

Artysta znudził sobie wreszcie te wszystkie pretensye Schweycera — i jakkolwiek nie był do tego zobowiązany, zawarł ze swym przeciwnikiem wcale niekorzystną dla siebie ugodę, o której tak informował Mieczysława Pawlikowskiego, swego przyjaciela w liście z dnia 3. lutego 1859 r. z Paryża: „Kochany Mieciu! Spór mój o portret śp. Adama Mickiewicza jest ci znajomym przez Józefa (Grelińskiego), na którego ręce wszystkie papiery odesłałem — więc wiesz, jak sprawa ta moja ze Schweycerem stanęła. Otóż, ażebyś wiedział o ostatecznem zakończeniu tejże i zgodzie obopólnej, załączam tych słów kilka, które chciej zakomunikować Panu Włodzimierzowi (hr. Dzieduszyckiemu) i Tow. Sztuk p. w Krakowie — o to, że ja, zastanowiwszy się, w rzeczy samej uchybiłem, dając Tow. pozwolenie sztychowania mego obrazu śp. Adama Mickiewicza, gdyż dając je, powinienem zarazem i takowego żądać od Schweycera, zwłaszcza, jak wiesz, obraz mój głównie z ego dagerotypu był czerpany — dając mu chętnie tę satysfakcyę moralną i zawsze jeszcze gotów jestem tę szkodę tem mimowolnie mu wyrządzoną nawet materyalnie wynagrodzić“.

Świadczy ta ugoda o wielkim sprycie Schweycera, ale też w ęcej jeszcze o znanej uczciwości, czystości charakteru i gołębiej dobroci serca Franciszka Tepy.

A Schweycer?

Wytoczył w roku 1859 już siódmy z rzędu proces — o rzecz tę samą — malarzowi Postempskiemu, czem wreszcie w oczach całej polskiej emigracyi całkowicie się ośmieszył.

Dr. MIECZYSŁAW TRETER.

O CHUDYM LITERACIE.

Pewien chudy literat (wprost z Naruszewicza
Zachowany), człek młody, bladego oblicza,
Ile że jadał rzadko, ale zdrów w istocie,
Mający w głowie myśli nieśmiertelnych krocie,
Głodny błądził po mieście, marząc ciągle o tem,
Gdzieby pożyczyć rubla i nie oddać potem.
Tak gdy błądzi — w tem napis uderza go
[w oczy:
„Pomoc dla literatów“. Śmiało tedy kroczy —
Wchodzi do kancelaryi. Jakiś pan tam siedzi,
Który prowadzi sprawy pisarskiej gawiedzi.
Temu więc rzecze: Panie, jam goły literat!
Miser! Res sacra! owo przychodzę rad nie rad
Prosić was, czy nie macie jakiego tysiąca
Franków dla mnie, a iście jest to rzecz kojąca,
Gdy się nagle gołemu otwierają wory
Złota.

— Owszem, lecz niech pan naprzód zawoła
[doktory,
I niechaj nam określą, na co pan jest chory.

ANTONI LANGE.

Z TAJEMNIC SZKOLNEGO ZESZYTU.

Otoczona grozą powagi, pełna lęku przed nauczycielem, szafarzem łask, dawcą pochwał i nagan, opłakanych gorzkiemi łzami w latach marudy szkolnej po to, by w życiu zamienić się w najmilsze wspomnienia dni młodości, malowane kolorami tęczy a owiane nieraz nieposopolitym humorem, jaki daje pogoda lat młodych, nieznających jeszcze co to troska i zawód życia — ma jednak i szkoła swoją poezyę. Ma ją bez wątpienia w większej mierze, niż życie samo, którego zawody i burze niszczą częstokroć poezyę młodości, zasypują źródła, z których ona płynie: fantazyę i humor. A jak niewyczerpane są jego zasoby, jak rozległa skala i treść, którą rządzi, jak niewybredne wymagania, by klasę całą, zrzeszenie tak rozmaitych indywidualizmów i temperamentów postawić pod jego znakiem, wie każdy, który miał to szczęście życia, by znaleźć się wśród kolegów dobrych, nieodłącznych towarzyszy doli i niedoli szkolnej, psot, wybryków i kar, na wspólnej ławce, gdzie każdej chwili grozi gniew męża, o którym przysłowie prawi, że „znienawidzili go bogowie i w nauczycielstwo posłali“, gdzie notatnik jest przedmiotem trwogi i westchnienia, by kryły go ciemności kieszeni nauczycielskiej a zeszyt niewinną ofiarą srogiej nieraz zemsty ucznia lub uczenicy za to, że jest widomym wyrazem trudów zadaniowych.

A nad tym światem barwnym i buńczucznym, pełnym utrapień lecz i szczęścia, gdzie tak niewiele nieraz potrzeba, by jego czara pełną była, światem zmartwień i troski w chwilach młodych, a tęsknoty i nieposolitego uroku, gdy szkoła staje się już tylko punktem zaczepienia dla pamięci a czas obwleka ją sentymentem życia, góruje poezya szkoły, to coś nieuchwytne, czego żaden uczeń ani nauczyciel nie pochwyci, rozum nie zdefiniuje, a co w życiu czyni z tej instytucyi utrapień młodości przedmiot dla myśli ludzkiej szczególnie drogi, budząc tęsknotę za przeżyciami chwil szkolnych, szczególną pamięć pewnych zdarzeń i momentów. Jest to ta linia życia, której często nie wyczuwamy, a którą nosi w swej piersi nawet człowiek najbardziej trzeźwy, na niej opiera się owa poetycka „młodość górna i durna“ w przeciwstawieniu do późniejszych lat, „wieku męskiego i klęski“.

Ta zaś poezya szkoły bywa rozmaita, wiele prawi o niej nasza „Nuda“, tak niesłusznie zapomniana i niegłośna a przedziwna epopeja szkolna o bohaterskich losach Grzmigrzmota, galeryi profesorów, typów swego rodzaju, pełna żartu, lecz i umiłowania szkoły, zakreślona z szerokim gestem epickim. Ma bowiem poezya szkoły swych bohaterów i swe „wielkie“ zdarzenia dziejowe, ma pierwiastek nadzmysłowy w formie interwencyi bogów-profesorów, ma nawet tragizm ballady i smętek elegii. Poeci i piewcy tych faktów są domorośli, nie znają częstokroć arkanów poetyckiej sztuki, lecz mają humor i fantazyę godną zazdrości. Rodzi je niezwykły nerw młodości, który każe nieraz wcielić żywcem w formę wiersza lekcyę profesora, podpatrzyć jego śmiesznostki i nawyczki, przypiąć łatkę koledze lub koleżance, albo też na brzegu książki powołać do życia karykaturę mentora. I prędzej zbadasz puszcz litewskich przepastne krainy, nim się rzecz taka dostanie do rąk przełożonej władzy, która nieraz w ukryciu, gdzie jej los szczęśliwy podobny płód w rękę [illegible] cieszy się narówni z autorami, le[illegible] przyczyny, bo w poecie czy poe[illegible] mistrzu od karykatury książkowe[illegible] odkrywa iskrę Bożą, widzi zarod[illegible] pożytek tej poezyi a nieraz jej [illegible] która autorowi przynosi szczegó[illegible] czyciela.

I niktby nie przypuszczał, [illegible] „Miotła“ lub „Dyabeł“, bo tytuły [illegible] dobierane dla zadokumentowania [illegible]

wana przez pierwszego rysownika klasy pod ławą szkolną w czasie lekcyi o ideach Platona lub prężności gazów, taki świstek ulotny może stanowić zwrotny punkt w życiu osobnika, który płód swego ducha może odpokutować w kozie tej samej szkoły, której kiedyś będzie ozdobą. „Sobie śpiewam a Muzom" — rzeknie śladem Kochanowskiego podobny delikwent, odsiadując laury poetyckie lub malarskie w kozie.

Lecz bohaterami poezyi szkolnej, przedmiotem opiewania poetów z klasy piątej lub szóstej są równie dobrze właśni koledzy, jak profesorowie. Niech tylko los w postaci zatargu z nauczycielem lub inna szczęśliwa okoliczność wydobędzie na jaw takiego bohatera, a już krąży o nim pieśń lub zyskuje on „przydomek" jak w zaścianku Dobrzyńskich; a miano to przetrwa jego sławę szkolną i odezwie się echem w 30 lat po maturze na zjeździe. To heraldyka i genealogia szkoły, nieodzielna część jej poezyi.

Na ogół jednak biorąc, tworzy ta poezya literaturę podziemną, spiskową. Na powierzchnię życia wydobędzie ją przypadek lub sędzia śledczy-profesor. I znów jak w Mickiewiczowskim mateczniku, z którego tylko przypadkiem wybiegnie wieść na świat, bo poza tem tylko bajka o nim głosi, wpada podobny łup szkolny w ręce władzy-profesora jako konfiskata nielegalnej literatury w czasie godziny szkolnej, okupiona bardzo często adnotacyą za brak uwagi i zmartwieniem studenckiem. Powstaje bezpośrednia wymiana myśli, zespolenie ucznia z profesorem, który wnika w świat myśli uczniów, chociaż wcale nie na drodze zalecanej przez dydaktykę.

Nauczyciel daje temat zadania domowego: Wschód słońca w lesie. Obrazek przyrody. Uczenica, uważana przez swe szesnastoletnie koleżanki za wrodzony geniusz poetycki, łamie obawy i lody zwątpienia, bo to praca domowa a profesor „dobry człowiek", i daje odpowiedź wierszem. Profesor zadanie ocenia, omawia w klasie, wytyka usterki, podnosi piękne obrazowanie, śmiałe przenośnie, radzi nad sobą pracować, bo praca talent uszlachetnia, a „kto chce coś od siebie dać drugim, musi przedtem sam nagromadzić zapasy" — a w godzinę później krąży po klasie lotne słowo, wprawdzie nie Homera, tylko poety-anonima, odziane w formę bajki opowiadającej.

Do M. R.

Dzisiaj w piekle nowość wielka,
Człowieczyna wszelka
Tańczy, przyśpiewuje,
A Rej stary, Kochanowski i poczciwy Naruszewicz,
I Krasicki i Trembecki i Morawski i Niemcewicz
Radość folguje.
Bo też pomyśl ty dziewczyno, co tam siedzisz [w ławie,
Że dziś Maryś Ruckerówna pono chodzi w sławie.
Napisała ci to bajkę — słuchać uszy bolą
Rymy, rytmy, pleonazmy, że aż w oczy kolą.
A pisała o tem słońcu, co tam wschodzi w lesie,
Co ptak śpiewa, kwiatek baje, nawet co wiatr [niesie.
Więc radują się poeci, którzy w piekle siedzą,
Co to teraz ino płaczą, smucą się i biedzą,
Że tam w górze, tam na ziemi, w gimnazyum [Słowackiego,
Mają brata, siostrę, człeka duchem im krewnego.
Więc ty Maryś moja mała nie pisz więcej bajki,
Bo gotowaś pójść do piekła, do tej starej szajki.

Jednak poza humorem, który dyktuje zwyczajnie podobne debiuty poetyckie a miłość zaś koleżeńska je okrasza, kryje się w nich pewne znamię ogólniejszego znaczenia. Szkoła s ełnia swe zadanie wobec ogólnej kultury narodowej i wobec talentu, który ma kiedyś tę kulturę pomnażać, dobywa go na wierzch; myśl nauczyciela poczyna kiełkować i wschodzi plon, może ... wsze zakreślony celem nauki szkolnej, lecz ... ważny dla życia.
... szkoły poczyna mu służyć.
... się jednak wypadł, że zeszyt ...a na swych kartach tajemnicę ...entu, o którym do tej pory tylko ... krążyła wśród szkolnego ludu, ...owania wywołuje oddźwięk, któ... ...sye poważne, zaciekawia i każe ...kę baczną zwrócić uwagę. Bo z ...yłania się z podobnej odpowiedzi ...ogramowa, bije wyznanie wiary pokolenia, w którem dany autor czy też autorka tkwi, jest wypowiedzenie się w kwestyi o zasadniczym charakterze dla ujęcia wartości etycznych lub narodowych w tem pokoleniu śpiących, z drugiej strony widać narodziny talentu prawdziwego lub też nawet już pewne jego wyrobienie.

I oto przykład drugi. Na temat zadania domowego w kl. VIII.: „Jak pojmuję dziś me obowiązki wobec ojczyzny?" daje odpowiedź uczenica Marya Majchrowiczówna.

Kochać Ojczyznę swą Macierz — to znaczy
kochać te wszystkie wsie i wszystkie miasta,
gdzie zaszła kiedy garstka jej tułaczy
i gdzie Wspomnienia krwawy kwiat wyrasta,
i gorzką rosą łez jej drogę znaczy,
skarżąc się smutnej marze króla Piasta.
A łzy te zbiera w liliowe kielichy
rój archaniołów posępny i cichy.

Kochać Ojczyznę — to kochać serdecznie
wszystkie swe siostry i wszystkich swych braci,
blaskiem kochania otoczyć słonecznie
i znicz rozniecić, co blasku nie traci;
ten Boży ogień płonąć będzie wiecznie,
nadarmo zgasić go chcą wrogi-kaci.
Objąć miłości żarem wszystkie stany,
by Naród ożył miłością zbratany!

Kochać Ojczyznę — to kochać jej chwałę,
Grunwaldzkie surmy, srebrnych trąb hałasy,
w złotych koronach nasze orły białe,
dzielnej hussaryi bohaterskie czasy,
postacie królów w gloryi blasków całe,
o których dotąd gwarzą stare lasy,
kochać Wawelu tęczowe legendy,
jak Ewangelię nieść je z sobą wszędy.

Kochać Ojczyznę — to dla Jej przyszłości,
budować pomnik cichej, żmudnej pracy,
dbać, by nie zginął krwawy siew miłości,
który rzucali wygnańcy-wojacy,
dbać, by z popiołów bohaterskich kości
plon życia kiedyś zbierali rodacy.
Kochać tę przyszłość, w której nam zagości
przejasnym blaskiem jutrzenka Wolności!

Kochać Ojczyznę — to swoją dziecinę
Usypiać piosnką o ojczystej ziemi.
Uczyć pacierza za polską krainę,
aby błagała łezki niewinnemi
o wielką, jasną Wolności godzinę,
co zbudzi Polskę chóry anielskiemi.
I chociaż przemoc sroży się zdradziecka,
Bóg sprawiedliwy usłyszy głos dziecka!

Kochać Ojczyznę — to Jej świętej sprawie
wychować wielkiej idei rycerza,
co służyć będzie Wolności i Sławie,
Wiara uchroni go miasto pancerza;
z wrogiem on walczy mężnie, choć bezkarnie
i w rolandowy róg zwycięstw uderza,
wołając braci do świętego dzieła
głosi, że „Polska jeszcze nie zginęła!!"

Nauczyciel odczytuje elaborat w klasie, podnosi jego stronę treściową i formalna, a na pytanie dlaczego uczenica posłużyła się formą wiersza, otrzymuje odpowiedź, że inaczej nie potrafiłaby dać odpowiedzi na ten temat. To już nie tylko poezya szkoły w znaczeniu nakreślonem powyżej, to narodziny talentu, uszlachetnionego pracą szkolną, dążącego do wyżyn.

A w umyśle nauczyciela, dla którego przykład ostatni stanowi zjawisko ogólniejszego znaczenia, który w młodej autorce widzi nie tylko naukowy typ szkolny, lecz niezaprzeczony talent poetycki, budzą się refleksye i snują analogie. Przypominają się pierwsze występy Deotymy, dźwięczą nauki, jakie dawał nauczyciel literatury ojczystej uczniowi Szarskiemu w Kraszewskiego „Powieści bez tytułu", tworzy się związek ideowy, zarysowany jeszcze na dalekiem tle przeczuć, że praca szkoły służy w tym wypadku temu, co stanowi kwiat i ozdobę kultury narodowej, koronę pracy twórczej człowieka — poezyi.

Obym był dobrym prorokiem!

STANISŁAW KOSSOWSKI.

Wyspa szmaragdowa.

Gdy pewnej nocy cnotliwy król Suddhodana, ojciec boskiego Gautamy, Pana i Zbawicí la Świata, usnął, nawiedziło go siedm snów niespokojnych. W jednym z nich ujrzał olbrzymie koło wirujące, — o piaście ze złota płonącego i promieniach, błyszczących od kamieni bezcennych. A w niezliczonej ich liczbie żaden nie był podobny drugiemu. Jedne z nich skąpane były w purpurze, drugie zabarwione blaskami nieba, morza i światłością gwiazd, inne zieleniły się jak młode trawy w okresie Wielkich Dżdżów.

I było koło owo jako te róże z szkła przejrzystego, świetlane i złote, które — przez kunszt obcy naszym czasom — zakwitały ongiś nad drzwiami świątyń prastarych, lecz tysiąckroć od nich było przejrzystsze, świetniejsze i większe. Na obręczy jego dziwne wypisano rzeczy i koło to muzyką i ogniem być się zdało.

I chociaż cnotliwy król Suddhodana umarł przed dwudziestu pięciu wiekami, chociaż sam nawet Mistrz nad Mistrze zstąpił do boskiej Nirwany, do królestwa Milczenia, przecież koło owo stoczyło się z krainy snów królewskich w rzeczywistość, padło na najcudniejsze szmaragdy mórz Południa i tam wśród fal białopiennych, wśród zielonych wełn morza, posianych słonecznemi skrami, wśród buchających znienacka słupów piany, jak wieża medyolańska kunsztownych, w otoczy wysepek, podobnych do turkusów przejrzystych — po dziś dzień świeci i gra wszystkimi kolorami tęczy; opłynięte błękitem, wpatrzone w dale pełne słodyczy, po dziś dzień bytuje, zaś idone w Nieskończoności.

A cud ów zowią ludzie: wyspa Jawa.

* * *

Losy zawistne nie pozwoliły mi dotąd zostać ojcem egzotycznego choćby księcia; wyznać nawet muszę, że ze względu na mój stan bezżenny wogóle dotąd rozkosze ojcostwa w nadzwyczaj tylko skromnej mierze danem mi poznać było. W podróżach, jakie dotąd przedsiębrałem, nie opuściłem ni razu granic sędziwej naszej macierzy Europy. A jednak...

A jednak i mnie było danem ujrzeć przez chwilę wirujące koło-cud cnotliwego Suddhodany i do mnie uśmiechało się sło ko złocone bóstwo, — wieczyście młody asceta, co na sześć wieków przed Chrystusem głosił litość i rezygnację. — Wędrowałem nad brzegiem mórz lazurowych, po jaskiniach pobrzeżnych, wypełnionych ciemnością szkarłatną, co ściekać się zdaje kroplami purpury po ścianach chropawych, woniejących gorącemi parami jodu i soli. Choć za oknem zawodził wiatr ojczyźniany, choć krople topniejącego śniegu wygrywały w rynnach swe rytmy monotonne, pielgrzymowałem śmiało po opuszczonych stolicach pierwszych sułtanów Jawy, wśród ich kopuł błękitnych, jakby wydłużonych ku niebu, po miastach zapomnianych, gdzie dziś tylko róże i jaśminy śpiewają wonnym oddechem poranku i zmierzchu...

Cóż było talizmanem, który mi otworzył cuda przybranej ojczyzny Edwarda Dekkera, cóż było owem zaklęciem tajemnem, które—jak demon bajeczny z „Tysiąca i jednej nocy"— przeniosło mnie do zwrotnikowej kolebki *Pregiwy?* Oto stała mi się niem, gdyby kabaliście średniowiecznemu — książka, poważne *in quarto* prof. Michała Siedleckiego: „JAWA" (Warszawa, Kraków 1913. Wydawnictwo J. Mortkowicza). Tak.— Dzięki tej książce przeżyłem kilkanaście godzin na Jawie. A oto garść impresyi z tej.... podróży....

* * *

Kassi api! Podaj mi ognia niewolniku, a Wy posłuchajcie!

Była to dziewczyna dość wysoka, szczupła ale cała jak jeden muskuł. Cery była mocno ciemnej o złotawych połyskach starego bronzu chińskiego. Czarne włosy, o granatowym połysku, tak płomiennie ukochanym przez Baudelaire'a, wysoko zaczesane, ujęte były zawsze w wieniec z kwiatów. Cudnie *batikowany sarong*, ściśnięty w pasie srebrnym paskiem i czarny, głęboko wycięty gorset aksamitny były jej strojem jedynym.

Tańczyła wieczorami po ubogich gospodach chińskich, ginących pod ciężkiemi czapami zczerniałego poszycia, przy nikłem świetle dziwaczno-

kształtnych fioletowo purpurowych latarń i cichym chrzęście naoliwionego papieru lampionów. Radowała też swym tańcem rybaków w ich obozowiskach, nad zatokami wśród skał zielonych, spleśniałych, ujętych w bluszcze, nad łachami morza jakby wdrążonemi w jedną sztukę olbrzymiego turkusa, a oni patrzyli w milczeniu na jej oczy zamglone rozkoszą i głowę w tył odrzuconą, jakby pociągniętą ciężarem włosów ogromnych.

Ujrzeliśmy ją raz, jak tańczyła w złoto-zielonym mroku u stóp olbrzymiego świętego drzewa — *Waringina*. Miejsce tańca otoczył zwarty ciemnoskóry tłum, wśród którego tylko fioletowy *saroug* jakiegoś kapłana odbijał jak wiązanka fiołków między skabiozami.

Popłynęła srebrna melodya *gamelanu*; dźwięczny głos *saronu*, cymbałów z płyt metalowych, poprowadził pieśń, powtarzając jeden i ten sam temat, w nieskończoność wracający na tle cichego zawodzenia *brabaru*, przesmutnych, jednostrunnych skrzypiec arabskich.

Wraz uniosła się nieruchoma dotąd tancerka ruchem motyla i drobnymi, wolnymi krokam obeszła koło taneczne.

„Oto przechodzi drużyna *Poptia Wali* przez kwieciem strojną drogę...“ zaśpiewała głosem cichym, słodkim, niezmiernie wysokim i jakimś ogromnie kobiecym.

I popłynął taniec-pieśń, złożony z ruchów rytmicznych, malujących z rzeźbiarską plastyką szczęście uroczej *Pregivati* i jej kochanka i ohydne podstępy złego ducha *Leksmany*, zakochanego w aksamitnych oczach dziewczyny.

Tancerka zawodziła tan prawie że w jednem miejscu. Członki jej to mdlały w chwilowym bezruchu, to prężyły się i trzepotały jak krzak leszczyny, owiany podmuchem nadlatującej burzy. Czasem parę posuwistych kroków w przód, czasem zwrot lekki, czasem przegięcia się pełne wdzięku, który boli i upaja...

A ruch każdy, słowo każde znaczyły wyciągnięte, nagle, złote ręce, co wiły się i gięły w takt ciągle wracających motywów, jak dwa węże złociste — to proste i wyciągnięte, aż po palce, to pogięte i sfalowane, jakby wszystkie stawy z więzów wyrwano. Czasem znów całe ciało gięło się i falowało chimerycznie, dziwacznie a upojnie, jakby przepływała przez nie fala jakiejś muzyki niewidzialnej...

A tłum, wpatrzony, w drgający obłok różowego *sarongu*, w którym niby płomień świeciło złote ciało tancerki, nie widział jej już, bo była — w nim!

I ssał w siebie rytm i linię i rozkosz jej ruchów i odczuwał wszystko w swej duszy jak przypływ i odpływ, co wzrastał i nikł, potężniał i bezwładniał.

I tłum ten i muzyka i tancerka o złotem ciele stopi i się razem w jedną całość, drgającą rytmem tak, jak rytmem drgają chóry przyrody, śpiewającej na tej wyspie szmaragdowej pieśń wieczystą.

* * *

Cóż powiedzieć Wam jeszcze? Czy mam opisywać przedwieczne, wspaniałe, umarłe miasta indyjskie nad straszliwą „doliną śmierci“ Djamat? Czy grzędy kwiatów niezwykłych, płonące jak drgające łuki ogniste — czy może płazy dziwaczne o oczach berylowych, czołgające się po zielonych, dymiących kałużach? Lub może przywieść Wam przed oczy cuda *Wajang kulit*, złocisto ażurowych maryonetek jawańskich, wyciętych ręką mistrza z skóry bawolej i pod wtór dźwięcznego głosu recytatora — *dalanga*, wstrząsających serca ciemnolicych *ladies* bohaterskimi dramatami?

Przeczytajcie sami resztę książki — ja kończę po malajsku:

Svedah! — Dość tego!

JERZY KONARSKI

Z NAUKI O DZIECKU.

Autor „Półdziewic“ pedagogiem!

Dziwnego doznajemy wrażenia, gdy ktoś, zazwyczaj błazeńskimi pobrzękuje dzwonkami wstąpi nagle na koturny moralisty i wdzieje na się togę uroczystej powagi. Bardziej może dziwnem jest, gdy *„viveur“* paryski, który wczoraj jeszcze zaglądał pod kapelusze spacerującym po bulwarach demimondkom i pannom „z towarzystwa“, który był swatem małej Julci w swawolnej noweli *Le mariage de Juliette*, wnikał w dusze półdziewic z końca ubiegłego wieku, który uwziął się by z kobiety zrobić istotę rozpasaną, czyhającą tylko na zgubę mężczyzny, gdy jednem słowem Marcel Prévost ubierze się nagle w togę nauczyciela i wychowawcy...

Więcej jeszcze! Do odegrania tej roli zabiera on się zupełnie poważnie, z całym aplombem człowieka dzierżącego palmę nieśmiertelnych i opierającego się na doświadczeniach lat wielu. Pod tym względem ostatnia jego książka którą bierzemy do rąk z pewnem niedowierzaniem, podejrzewając autora o jakąś bufoneryę, miłe przyniesi rozczarowanie.

Że zaś autor przystępuje poważnie do rzeczy i nam wypada uczynić to samo.

Powiedzmy zatem odrazu, że Prévost jest mentorem sympatycznym, choć nie na wszystkie jego propozycye wychowawcze zgodziłby się można. Kreśli on szkic wychowania na wzór „Emile'a“ Rousseau'a, dotykając wszystkich najważniejszych jego zagadnień i polemizując często z wielkim swym poprzednikiem.

Idźmy śladami książki. Dzieciństwo jest dla siebie, ma swoją wiosnę, która trwa do siódm go roku życia dziecka: to d z i e c i ń s t w o d z i e c i ń s t w a. W okresie tym baczyć trzeba na wychowanie fizyczne, zresztą zaś rozwijać główne uwagę, która jest podstawą przyszłej zdolności do pracy młodzieńca. Wychowanie rozpoczynające od pierwszej chwili, według ułożonego raz planu konsekwentnie i starannie. Lenistwo wychowawcy bowiem jest źródłem wszelkiego złego w wychowaniu. Z nauki elementarnej wyklucza Prevost jak najsurowiej książkę. Dziecko według niego tak długo nie traci zdolności bezpośredniego spostrzegania i przyjmowania wrażeń, jak długo między nim a światem zewnętrznym nie stanie jak ekran k s i ą ż k a, która mu świat ten zasłoni. Dlatego nauka czytania przed ósmym rokiem jest szkodliwa, a jeżeli się ją uprawia, to jest to znowu tylko wynikiem lenistwa wychowawców. Nauka opierać się winna na podstawach realnych, rzeczywistych i dotykalnych.

Rozpoczynamy ją od przedmiotów bliskich dziecku i znanych i coraz dalsze horyzonty. Naukę prowadzi wychowawca ustnie, w otoczeniu wiejskiem, które jedynie odpowiada dziecku w pierwszych latach jego dzieciństwa. Tylko wśród przyrody bowiem napotykają umysły jego bezustannie przedmioty, odnoszące się wprost do życia, niezłożone i zrozumiałe. Prevost przewiduje zarzut, że wychowanie t kie nie dla każdego jest dostępne. Zaznacza on jednak, ż e d o b r e w y c h o w a n i e, a o takiem jest mowa, dotąd jest i na długo jeszcze pozostanie przywilejem niektórych klas społeczeństwa.

Następny okres dzieciństwa to jego m ł o d o ś ć, obejmująca lata od ósmego do dwunastego roku życia. W czasie tym dziecko uczy się reagować na przedmioty świata zewnętrznego. W progi jego życia wchodzi książka jako nowy czynnik wychowania. Wychowawcy przypada tu już trudniejsze zadanie kształcen a umysłowości dziecka, jego uczuciowości, woli, rozumu i wyobraźni. Zwłaszcza uczuciowość dziecka wymaga bacznej uwagi, gdyż jest ona wbrew powszechnemu mniemaniu, słabo rozwinięta. Dzieci są zazwyczaj egoistyczne, często zdradzają nawet pociąg do okrucieństwa. Temu okresowi poświęca Prévost największą część swej książki, podając nawet dokładny plan nauk i rozkład dnia swych małych siostrzeńców i wychowanków.

Marcel Prevost: „Lettres a Française maman. Paris. A. Fayard editeur.

Przedewszystkiem jest w niej wiele sprzeczności, że tylko poruszę sprawę opierania nauki na szczegółach, z którymi oswoił się już umysł dziecięcy. Jest to zasada, znana i uznana w nowoczesnej dydaktyce, ale Prévost kojarzy ją z drugą: *Enseigner toujours la meme chose* (uczyć zawsze tej samej rzeczy), co rozumie w ten sposób, że zaraz podczas pierwszej lekcyi podaje się dziecku najogólniejsze (a więc abstrakcyjne dla niego) ramy przedmiotu, które się w ciągu dalszej nauki wypełnia coraz większą ilością szczegółów. Przy rozwijaniu tej zasady popada w sprzeczność z poprzednią, także przez siebie zalecaną.

Trzeci okres dzieciństwa, j e g o w i e k d o j r z a ł y, od lat 12—17, autor zbył bardzo powierzchownie, nie wiedząc — widać — jak się z nim uporać. W braku czegoś lepszego przedstawia nam kilka sztuk źle wychowanych, nieznośnych podlotków i wyrostków, erotycznie podnieconych i pretensyonalnych. Z tem też łączy się ostatni, może największy, brak książki. Prévost, który ciągle kładzie nacisk na to, że wychowanie chciałby widzieć realnem i opartem na rzeczywistości, uświadomienie płciowe odkłada aż do tego ostatniego okresu dzieciństwa. Uświadomienie odbywa się podczas wielce sentymentalnej sceny między matką a córką, względnie między ojcem a synem, sam autor bowiem uważał temat ten za zbyt drażliwy, by go z dziećmi poruszać...

Te braki i wiele innych, czynią — jak już wyżej wspomniałam — książkę nieprzydatną dla tej matki, któraby chciała n. p. czytać ją codzień, wchodząc do pokoju dziecinnego.

Ale, czyż taki był cel „L i s t ó w d o F r a n i m a t k i“?

Przedewszystkiem listy te czyta się z wielką przyjemnością; nic w tem dziwnego, wiadomo, kto je pisał. Nie jest on zawodowym pedagogiem, więc też fachowcom niczego nowego powiedzieć chyba nie potrafi.

Nie dla nich też jest książka przeznaczona. Sam fakt, że jeden z najsławniejszych powieściopisarzy francuskich doby współczesnej wziął się do napisania książki, przeznaczonej dla szerokiego ogółu czytelników, a traktującej o wychowaniu, znamienny jest wielce dla zainteresowania, z jakiem Francuzki odnoszą się zwykły do spraw wychowawczych. Żadnego szczegółu nie uważa się tu za zbyt błahy. Z równą powagą mówi się o godzinach posiłku, jak o kwestyi wychowania religijnego, a ten, który głos zabrał, jest przecie członkiem Akademii francuskiej.

Czy nasze społeczeństwo zajmuje się w równym stopniu młodem pokoleniem? Czy poza „fachowymi pedagogami“ pisze kto choćby artykuły o wychowaniu, nie mówiąc już o książkach i czy rzeczy, tyczące się spraw wychowawczych, znajdują czytelników poza ciasnem kołem „fachowców“?

Oto pytania, na które odpowiedź zawstydziłaby nas musiała wobec społeczeństw obcych.

DR. HERMINA BUKOWSKA.

AUSTRYA W KRÓL. POLSKIEM.

(Pierwszy korpus austryacki w Polsce. — Zajęcie Zamościa. — „Nowa Galicya“ 1794—1809. — Nic o niej nie wiadomo. — Kampania r. 1809. — Zwycięstwo ks. Józefa pod Raszynem. — W trzy lata później. — Między Bełzcem a Tomaszowem. Przeciw Napoleonowi).

Wojska austryackie parokrotnie u schyłku Rzeczypospolitej i później jeszcze w dobie Księstwa Warszawskiego wkraczały zbrojnie z rozmaitych powodów i w rozmaitych celach na ziemie polskie, kierując swój marsz przeważnie na północ ku Warszawie.

Po raz pierwszy wojska austryackie ukazały się na ziemiach polskich w r. 1772 od strony węgierskiej; zajęło naprzód ziemię spiską, a następnie przeprowadzono aneksyę Galicyi. Marsz to pod względem strategicznym mało ciekawy, ponieważ nigdzie nie natrafiał na poważniejszy jakiś opór ze strony polskiej. Interesujący jest tylko ze względów politycznych, z powodu mia-

nowicie uporu, jaki stawiały dalszemu pochodowi wojsk austryackich w głąb kraju i władze i wojska rosyjskie, okupujące już znaczną część tych ziem i do nich z tego powodu roszczącej sobie pretensye.

O wiele ciekawsze jest powtórne już wkroczenie wojsk austryackich do krajów polskich w r. 1794. Nastąpiło ono z okazyi powstania Kościuszkowskiego. Jak długo szczęście uśmiechało się orężowi polskiemu, tak długo Austrya zdawała się sprawie polskiej sprzyjać. Gdy jednakowoż wynik walki począł się stawać niepewnym i przechylać na niekorzyść powstania, wówczas Austrya postanowiła z tego skorzystać, a przewidując już świeży rozbiór ziem Rzeczypospolitej, zapragnęła sama w nim wziąć udział — słusznie obawiając się, żeby nie została ubieżoną przez Prusy i Rosyę, jak to się stało niedawno, podczas drugiego rozbioru.

To też dnia 27 czerwca 1794 cesarz podpisał nakaz okupacyjny ziem polskich, a już 1 lipca przeszły oddziały austryackie, pod dowództwem generała Harnoncourt'a, granice polskie niedaleko Sandomierza. Nie tety wyprawa ta, której ostatecznym wynikiem było zajęcie t. zw. „nowej Galicyi", wcielonej na mocy aktu rozbiorowego do ziem austryackich, a włączonej do Galicyi wschodniej, czyli starej, nie jest dotąd dokładnie znana, ani opracowana, mimo, że w wiedeńskiem archiwum wojny znajduje się cenny do tej chwili dziejowej materyał, w raportach bardzo szczegółowych dowodzącego tą wyprawą generała Harnoncourt'a. Podobnie też nie są wogóle znane losy tej „Nowej Galicyi", która przy Austryi przetrwała lat kilkanaście, bo do r. 1809. Nic konkretnego o niej dotąd, rzecz dziwna, nie wiadomo.

W roku tym nastąpiło trzecie z rzędu wkroczenie wojsk austryackich na terytoryum ziem polskich. Miało ono zupełnie inny charakter, aniżeli dwa pierwsze. Bo gdy tamte podejmywane były w celach okupacyjnych, przeprowadzane były w sposób mniej lub więcej pokojowy, a choć spowodowały drobne starcia, to jednak nie miały one jako celu wojny ani z właścicielami tych ziem, ani z kompetującemi o nie wojskami rosyjskiemi i pruskiemi — to kampania 1809 r. była wojną zaczepną w całem tego słowa znaczeniu.

Korpus VII austryacki, pod dowództwem arcyks. Ferdynanda d'Este, wkroczył w granice Księstwa Warszawskiego 15 kwietnia 1809 r. pod Nowem Miastem, oddalonem ledwo o 17 mil od Warszawy — i począł się szybko posuwać w głąb kraju. Pod Raszynem zastąpiły szczupłe siły Księstwa, pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego, drogę Austryakom. Bitwa trwała cały dzień 19-go kwietnia. Wojska polskie zostały zmuszone do cofnięcia się. Bardzo korzystna dla Warszawy kapitulacya wydawała to miasto w ręce austryackie — po raz pierwszy w dziejach i do dziś po raz ostatni.

Nastąpił potem szereg zwycięskich dla oręża polskiego starć — pod Grochowem i Górą. Zdobyto Sandomierz, Zamość. Wkroczono następnie do Galicyi wschodniej — gdzie znowu odniesiono wszędzie niemal zwycięstwa: pod Zwiniaczem, Zaleszczykami, Czernelicą, Horodenką. Zajęto Lwów, a niedługo potem Kraków — mimo przeszkód, stawianych przez wojska rosyjskie.

Pierwsza ta na większą skalę na ziemiach polskich ofenzywa austryacka w zupełności się więc nie udała, a przyprawiła Austryę o utratę niedawno nabytej „Nowej Galicyi", która wraz z Krakowem przechodziła teraz na własność zwycięskiego Księstwa Warszawskiego.

Po raz czwarty pojawiły się wojska austryackie na ziemiach polskich w trzy lata później, w sytuacyi jednakowoż zgoła zmienionej, zupełnie naopak do roli niedawno odegranej. Tak zwany korpus posiłkowy, pod dowództwem ks. Schwarzenberga, szedł teraz na pomoc niedawnemu swemu wrogowi — Napoleonowi, podejmującemu właśnie wielką wyprawę na Rosyę. Jako jego sprzymierzeniec wkraczał korpus austryacki na ziemie Księstwa Warszawskiego 15 czerwca 1812 roku między Bełżcem a Tomaszowem, idąc na Lublin, nie jednakże w celu inwazyi nieprzyjacielskiej, lecz by zasłonić Księstwo przed możliwym napadem rosyjskim.

Obrona ta jednakże nie była szczera. Jak długo Napoleonowi przyświecała jeszcze gwiazda szczęścia — tak długo wojska austryackie trzymały jego stronę, staczając od czasu do czasu potyczki z wojskami rosyjskiemi. Przyszło nawet do większego wówczas starcia pod Gorodeczną, niedaleko Kobrynia, w którem oręż austryacki starł się jedynym niemal w dziejach wypadkiem z orężem rosyjskim. Wojska rosyjskie wtedy doznały porażki. Lecz na ogół unikano z obu stron poważniejszych bitw, mimo nawet, że obie te strony niejednokrotnie przedtem i niejednokrotnie później, w szeregu konfliktów politycznych, takiego zmierzenia się i to na prawdę tajemnie sobie życzyły.

Gdy Napoleona szczęście opuściło, korpus austryacki nie poniechał swojej roli obrończej, wycofując się aż do Krakowa — po to, by wkrótce wraz z Rosyą wystąpić otwarcie przeciw wielkiemu cesarzowi. Na tem też zakończyły się i operacye wojskowe Austryi na ziemiach polskich. Granice ich — jakie im przypisał Kongres wiedeński 1815 r. — do dziś, mimo liczne przemiany wewnętrzne, na zewnątrz nie zostały zmienione.

DR. BRONISŁAW PAWŁOWSKI.

POGRZEB DZIECIŃSTWA.

Jedzie biały, cichy wózek,
Dwa koniki z drewna,
A ślepy pajac powozi —
Taka bajka rzewna.

. . . .

Jadą ukochane książki.
Z pod pyłu smutnego
Przypomina się złociście
Marzenie Vernego.

I zabawy cudne jadą:
Wśród wieczornych pieni
Białe echa ciuciubabki
Na trawnej zieleni.

I malutki, szary ptaszek,
W polu pogrzebany,
Jedzie. Marsza mu smutnego
Gra patyk drewniany.

Jedzie trawnik uśmiechnięty
I jabłoń, co potem
Tych, co grzeczni, miała darzyć
Swoich jabłek złotem.

Jadą we łzach utopione
Pełne srebrnej krasy
O zimowym, cichym zmierzchu
Z szyb wykwitłe lasy.

I wśród girland papierowych
Przez izb jakichś cienie
Ze złotemi jedzie świeczki
Boże Narodzenie.

. . . .

Jedzie zmarłe me dzieciństwo
W całuniku z płótna.
Ostatni uśmiech odjeżdża —
Taka bajka smutna.

STANISŁAW MAYKOWSKI.



ALI BASZA TEBEDELENLI.

(Kartka z dziejów Albanii).

Najdzikszy, najmniej znany i na najniższej stopie kultury stojący kraj Europy, kraj Szkipetarów, synów orlich — jak się sami Albańczycy zowią — otrzyma wkrótce niezawisłość państwową. Zamierzchłych czasów sięgają dzieje Albanii, a karty ich wypełnione są także ustawicznemi walkami z najeźdźcami. Samoistność państwową postradał ten kraj dawnych Illirów jeszcze w czwartym wieku przed Chrystusem i od tego czasu miał już wielu panów, którzy go wydzierali sobie wzajemnie. Przeciw każdemu z tych zaborców podnosili broń

Szkipetarowie i wiele okolic kraju, do ostatnich czasów tylko nominalnie stało pod obcem panowaniem. Zlana jest krwią ta ziemia, jak żadna inna. Ale nietylko krew wrogów przelewali Albańczycy, popłynęło tu także dużo krwi bratniej.

Jak w każdym innym narodzie, — tak i wśród Albańczyków żyło wiele postaci historycznych, wodzów, bohaterów. Najokrutniejszym i najsławniejszym z nich był Ali Tebedelenli, basza Janiny. On to może najwięcej krwi przelał, on jednak odegrał także wielką rolę dziejową. Celem, do którego dążył, było zjednoczenie szczepów albańskich pod swojem berłem. Do tego dążył nietyle jednak dla patryotyzmu, jak dla niepohamowanej żądzy władzy.

Choć zaledwie 90 lat minęło od jego śmierci — postać jego otoczona jest już nimbem legendy u Szkipetarów.

Urodzony w roku 1841 w Tebeleni w południowej Albanii, był potomkiem mahometańskich naczelników szczepu albańskiego Tosków. Dziadek Alego był bejem pod dwoma buńczukami. Ali był dzieckiem jeszcze, gdy po śmierci ojca sąsiedni baszowie zagrabili przypadłe mu w spadku posiadłości. Matka go wychowywała i wpoiła weń niepohamowaną dumę i żądzę zemsty. Toteż już jako szesnastoletni młodzieniec zdołał zebrać popleczników i ruszył na wojnę przeciw swym nieprzyjaciołom. Nie powiodło mu się jednak. Kilkakrotnie zbierał coraz to nowe bandy i próbował szczęścia, ale napróżno. Popadł w nędzę zupełną, musiał się kryć w górach, zastawił raz nawet broń swoją dla chleba. Wtedy to matka dała mu uczuć wzgardę i wyklęła go, żądając, by ubrał się w szaty niewieście i zamknął się w haremie. — Chroniąc się w podziemiach starej ruiny, był już blizkim śmierci głodowej, gdy nagle szczęście mu zabłysło, znalazł zakopany garnek żelazny, pełen złota.

Teraz mógł Ali zwerbować dwa tysiące bandytów, z którymi napadł na swych nieprzyjaciół i sprawił wśród nich rzeź. W tryumfie wkroczył potem Ali do swego rodzinnego miasta, krwawą zemstą ścigając wszystkich, którzy go kiedykolwiek skrzywdzili lub upokorzyli. — Zbroczył się przytem nawet krwią rodzonego brata, oskarżył jednak własną matkę o to morderstwo i zamknął ją w haremie. Odtąd datuje się wzrost jego potęgi.

Na czele znacznej już potęgi wojskowej, wyruszył potem Ali przeciw buntującym się baszom Skodry i Delwina, gaażąc bunty w morzu krwi. W nagrodę otrzymał buńczuk baszy Delwińskiego. W roku 1787, podczas wojny Turcyi z Rosyą i Austryą zgniótł powstanie Czarnogórców i został za to obdarzony paszalikiem Trykalskim. Niezadowolony jeszcze z tej godności, zajął w przyszłym roku podstępem Janinę i zmusił jej mieszkańców do wniesienia prośby do padyszacha, by ten mianował Alego baszą Janiny.

Jako basza Janiny wszedł Ali w kontakt z ówczesnym generałem Bonapartem, który mu przysłał francuskich oficerów inżynieryi, jako kierowników przy budowach fortyfikacyi i pałaców w Janinie. Gdy się jednak Francuzom noga powinęła w Egipcie, Ali basza napadł na załogi francuskie w portach albańskich i kazał je wśród najohydniejszych okrucieństw w pień wyciąć.

Wreszcie, po krwawem stłumieniu powstania greckich Suliotów, w roku 1803, stanął Ali basza u szczytu swej potęgi.. Zamianowany seraskierem, tj. namiestnikiem Rumelii, zapanował nad całą Albanią, Tesalią, Epirem i południową Macedonią. Sułtanowi płacił dobrowolnie haracz, nie troszcząc się zresztą o jego rozkazy. Stał się rzeczywistym władcą kraju, utrzymywał posłów na dworach mocarstw europejskich, a Rosya, Anglia i Francya utrzymywały stałe zastępców w rezydencyi Alego baszy. Ali został też ważnym czynnikiem polityki międzynarodowej, ważniejszym nawet, niż sam padyszach. Cały dywan czarnogórski stał na jego żołdzie, a dygnitarze Porty byli jego maryonetkami. — Zresztą dbał Ali o podniesienie dobrobytu swych prowincyi, toteż zakwitł w nich handel i przemysł, podniosło się rolnictwo, powstały liczne gościńce i mosty. Ale w miarę, jak wzrastało bogactwo kraju, wzbogacał się i Ali basza, zbierając olbrzymie skarby przez nakładanie podatków, kontrybucyi, grzywien itd. Jego stała armia wzrosła do 100.000 ludzi. Przy jej pomocy utrzymywał porządek w kraju, tłumiąc każdy bunt w zarodku i tępiąc bandytów. Wojska rozłożone były załogami po licznych zamkach obronnych i karaułach, w Janinie stało 5000 doborowego żołnierza dla osobistej obrony baszy.

Wszystkie władze połączył Ali basza w swej własnej osobie i panował jak prawdziwy despota Wschodu. Otoczył się przepychem niezwykłym i zbudował kilka malowniczych pałaców, jako rezydencye. Cześć musiano mu oddawać jak sułtanowi, a zbliżyć się doń wolno było tylko na klęczkach. Kto mu się naraził, — przypłacał krwią niełaskę. I tak zemsty np. kazał Ali basza wymordować wszystkich męskich mieszkańców wsi Gardiki, nie wyłączając niemowląt — zginęło wtedy 739 ludzi pod nożem. Zresztą broczył Ali basza ciągle w krwi.

Wzrost jego potęgi zatrwożył wreszcie padyszacha. W roku 1820 sułtan Mahmud II. wyjął Alego baszę z pod prawa jako uzurpatora i buntownika, oraz wysłał armię przeciw niemu. Liczne szczepy niezadowolonych Albańczyków przyłączyły się do wojsk padyszacha i Ali musiał się schronić do cytadeli Janinskiej, gdzie sie rok cały bronił bohatersko. Syn jego Weli walczył równocześnie przeciw Turkom pod Artą, a w Grecyi wybuchło powstanie za wpływem Ali baszy. Turcy musieli wreszcie odstąpić od oblężenia Janiny.

Ali nie umiał jednak teraz wykorzystać sposobności i wywalczyć Albanii niepodległość na równi z Grekami. Przewrotność jego charakteru i skąpstwo odstręczyły mu bowiem ostatnich sojuszników, gdyż niedotrzymał obietnic danych im w czasie oblężenia. Toteż Kurszyd basza wrócił na czele znacznej armii i zmusił Janinę głodem do poddania się. Ali baszy zapewniono przy kapitulacyi życie i mienie. Wkrótce jednak potem nadszedł z Stambułu sułtański wyrok śmierci na niego z rozkazem natychmiastowego wykonania. Wtedy to Ali basza, starzec 81-letni, nie chcąc zginąć hańbiącą śmiercią z ręki kata — sprzedał swe życie drogo w rozpaczliwym ostatnim boju, padając pod ciosami wrogów. A głowa jego długi czas jeszcze potem zdobiła mury pałacu sułtańskiego w Stambule.

KAROL BATTAGLIA.

POWIEŚĆ O DUSZY POLSKIEJ.

MARYA ZABÓJECKA: POWIEŚĆ O DUSZY POLSKIEJ OJCOWIE. KRAKÓW SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA" 1912 R.

Powiedzieć o książce p. Zabójeckiej, że jest „aktualna", że rytm jej cudownych rapsodów dziwnie wpada w takt falowań współczesnej duszy polskiej — znaczyłoby przywrzeć jej znaczenie do chwili, odrzucić coś z posągu, który stanąć winien stale na rubieży, kędy zmierza w wędrówce umęczona myśl polska i znaczy się krwawym śladem polski wysiłek... A jednak trudno nie powiedzieć, gdy się te karty krwią serdeczną pisane przerzuci, że książka ta dziś potrzebniejsza była niż kiedykolwiek. Zapewne nie myślała autorka, oddając do druku swą przedziwną „Powieść", że na skłonie tegorocznej jesieni wypadki oderwą z współczesnej duszy polskiej warstwy zastygłej w codzienności lawy, że z głębi ciemnej fali podejdzie bliżej pod powierzchnię ów szept „nieśmiertelnej tajemnicy polskiej", szept tak nam czasem daleki. na wstyd zaprawdę daleki. Nie przypuszczała, że książka jej będzie i umocnieniem marzeń, które zawierucha współczesnych wypadków z najtajniejszych zakątków duszy polskiej na światło dziennych rozmyślań wywiodły — będzie tą kroplą rosy, jaką zachłannie pije spieczony na skwarze kwiat...

— — —

„Powieść o duszy polskiej" jest rapsodem jej najwznioślejszych porywów ku wolności na przestrzeni wieku całego niewoli, jej orlich w słońce wzlotów i męczeńskich krwawych upadków w smutek i ból, z którego znów za chwilę miłość mocna jak śmierć do nowych lotów ją miała poderwać. Snuje się ta tragiczna opowieść od konfederacyi Barskiej bezowocnych już wysiłków po ostatni zbrojny protest roku 63-go, idzie szczytami myśli uczuć i czynów gnębionej Polski, poprzez najpromienniejsze, najdroższe, najmocniejsze w Polsce serca. Opowieść to o „nieprzeliczonej rodzinie krzyżowców wolności, jej żołnierzy, chorążych, siewców i skaldów" — nie kłócą się w niej wcale fiolety biskupie z bluzą robotniczą, świetny mundur księcia Józefa z szarą świtką polskiego chłopa. Dziś zakołysze wicher proletaryackiemi zwłokami jak wczoraj na stokach cytadeli kołysał ciałem Kociszewskiego czy Traugutta. „Drogi i środki ich są różne, ale cel jeden: wolna i szczęśliwa Ojczyzna"... Baśń straszliwie piękna, baśń o człowieku, który, gdy kochał umierał — a gdy umierał — żył.

Nie jest powieść Zabójeckiej historyą, choć tylko historycznymi operuje faktami — nie jest „poezyą" z tegoż właśnie powodu, albowiem rzeczywistości nie barwi, nie zaprawia, nie upiększa. Ale czyż historya naszych 100 lat ubiegłych nie jest w swych szczytowych puntach najpiękniejszą, najgłębszą poezyą? — Oto powieść taka prosta, a taka smutna i piękna... Powieść o ojcach naszych.

— — —

Otwiera ten korowód płomiennych duchów Irredenty polskiej sędziwy regimentarz Pułaski „Dałby Bóg nieszczęściem naszem okupić szczęście Ojczyźnie — trzeba zginąć!" mówi do żołnierzy. To hasło konfederatów usłyszymy nieraz w ciągu dziwnej opowieści, odezwie się w pobrzęku kos kościuszkowskich, zajaśnieje na krasnych sztandarach legionów, w niebo uderzy pieśnią sławy r. 31 i tragicznego rapsodu ostatniego powstania. „Śmierć—niewola. Refren to jakiejś pełnej zgrozy ballady... To tylko droga się wydzwania, po której Polak chodzi, by wolność odnaleźć". Nić jakiejś zdeterminowanej na wszystko odwagi snuje się szlakiem promiennym przez te dusze wielkie, które śmiercią swą chciały jeśli nie rozewrzeć wrota niewoli, to choćby tylko naród wyratować od hańby.

I to jest może jedyny zarzut, jeśli godzi się takiem ostrem słowem uwagę tę określić — jaką można uczynić książce Zabójeckiej. Nie ulega wątpliwości, że ten rys determinacyi i rezygnacyi był dla niektórych czynów zbrojnych Polski porozbiorowej charakterystyczny, że przewijał się w wystąpieniach jednostek naczelnych przez wszystkie powstania, nie można jednak uogólniająco robić zeń istoty wszystkich bez wyjątku naszych zamierzeń w dobie porozbiorowej. Przecie pochlubić się możemy synami urodzony-

mi nietylko z wiary i miłości ale i z wyrozumowanych planów politycznych i wojskowych, gdyby nie warunki od nas niezależne, zapewne byłyby się skończyły i kiemwyn wcale odmiennym.

Nie jest to zarzut, co jeszcze raz podkreślić należy, bo Zabojecka nie pisze studyum historycznego, powtóre zaś, momenty owe do pewnego stopnia uwzględnia. Całość zrodzona jest w miłości ogromnej do tych najdroższych kart naszych dziejów, miłość ta promienieje jakiemś fanatycznem uwielbieniem — nie błędów — ale owego bezgranicznego poświęcenia życia na ołtarzu Sprawy. Z książki tej możemy się nauczyć wiele, przedewszystkiem zaś ginąć za rzeczy śmierci warte.

— — —

Ustawa Kaspra Maszkowskiego nakazywała matce, aby „przerażała dziecko męczeńskiemi dziejami naszego narodu, aby je wcześniej prowadziła na miejsce pamiątek i mogił naszych". Książka Zabojeckiej jest dziś najpiękniejszym modlitewnikiem dla dziecka polskiego, dla młodzieży polskiej, choć pisana jest dla „starszych". Ale i „starszy" powinien z czcią wziąć „Powieść" do ręki.

Młodzież nasza wychowywana jest w duchu patryotycznym, prąd wydobyty „z pod fali" wypadkami bieżącej zimy, ten kierunek zapewne umocni. Ale starsi? Pół wieku upływa od ostatniego zbrojnego powstania — jeśli wypadki z r. 1905 wyłączymy, jako nie na całym obszarze Polski rozegrane — I stąd ta pewna dalekość i oziębłość u większości obecnego dojrzałego pokolenia w odczuciu potrzeby czynnego zadokumentowania „miłości ojczyzny", o której się tyle u nas na bankietach i festynach narodowych mówi.

Wypadki tegorocznej jesieni i zimy zrobiły w tej przystygłej skorupie duszy polskiej potężny wyłom — wiele się już zmieniło, wiele się zmienić jeszcze powinno.

Otóż „Powieść o duszy polskiej" może być w pracy tej nieocenioną pomocą. Minął czas patetycznej deklamacyi, idą ku nam dni, które nakażą nam miłość pieczętować czynem. I czyż potrzebujemy szukać przykładów pośród Malisorów i Albańczyków? Otwórzmy krwią pisaną księgę własnych, niedawnych jeszcze dziejów..

WŁADYSŁAW MILKO.

BENVENUTO.

Przed Porcyą Chigi staje z ukłonem Cellini:
— Otom oprawił klejnot, jako wasza wola,
Szczęśliwy, gdy z zazdrością mistrza Lucagnola
Zyskam, Madonno, waszą pochwałę znawczyni.

Choćbym ci dała zamek mój, włości i pola,
Podziw mój arcydziełu zadość nie uczyni.
Weź ten kwiat i niech skąpej wdzięczności nie [wini
Duma, którą źrenica twa błyszczy sokola.

— Oprócz zadowolenia twego, nic nie żąda
Sztuka moja, szlachetna małżonko Gismonda. —
Całując dłoń, odchodzi i tętna w nim biją.

A gdy na jej skraśniałą twarz cień rzuca rzęsa,
Mona śle za złotnikiem papieża Klemensa
Sługę z czterdziestą skudów i słodkie Addio.

LEOPOLD STAFF.

Najbrzydszy język.

Jak skarbce przeróżne, bogate muzea, panteony swej chluby i dumy naród każdy tworzy sobie swój język literacki, na którego piękno składa się jego czystość, bogactwo, barwność i obrazowość. Do szkatuł tych każda epoka przekazuje najszlachetniejszy dorobek swego ducha, czułkami swymi stara się wykreślić górną linię swego rozwoju, według której chce być sądzoną w przyszłości. Obok cennych dzieł sztuki, pięknych gmachów, których kształt architektoniczny wyodrębnia się przez nieznaną dotąd linię nowego stylu, obok ozdobnych, misternie cyzelowanych cacek, na których zwolna zacierająsię imiona Cellinich i Labique'ów i pozostaje jedynie data, ślad ich przynależności do pewnej epoki — inni mistrze ze szlachetnego kruszcu swej ojczystej mowy szlifują misterne klejnoty sonetu i ronda, kują w nim natchnione posągi, budują z niego majestatyczne gmachy.

W obliczu historyi dokonywa się świadome fałszerstwo, przyszłość bowiem sądzić będzie oddalającą się w zapomnienie epokę jedynie według tych najwyższych jej miar, idealnych przejawów — ale zbożne fałszerstwo, gdyż pamięć jest zbyt święta, by utrwalać w niej coś więcej ponad najświetniejsze i najpiękniejsze zjawy ludzkiej duszy, a zdolność przeidealizowywania samych siebie jest może jedyną osłodą życia i zapłatą za nie.

Tak Chińczyk stworzył sobie oficyalny, odświętny język, zgoła nie podobny do mowy codziennej, tak samo nie dalej jak w Niemczech sztucznie prawie rozwinął się i kwitnie książkowy, literacki „hochdeutsch", tak różny od potocznego języka, iż w niektórych zwłaszcza dzielnicach trudno się nim porozumieć z ludźmi, którzy przecież oficyalnie uznają go za swój ojczysty.

Ale i te najrozmaitsze gwary i dyalekty posiadają swój oddźwięk i urok. Jak w czystej wodzie potoku odbija się w nich każdy szczegół krajobrazu, który je otacza, udziela im się każdy dreszcz tego życia, które mają oddawać. Cechuje je bezpośredniość chwytanych i utrwalanych w dźwiękach mowy wrażeń, jakaś rdzenność płynąca zarówno z ducha rodzimych brzmień jak i z wrażenia, które je powołuje do życia. Wszystkie te ich cechy odbijają się najlepiej w piosence ludowej, w której barwność słowa idzie nieraz w zawody z obrazowością zwrotu.

Jeżeli jednak gwarę ludową porównamy z językiem literackim, cała jej bezpośredniość i rdzenność nie zdoła nam zastąpić tego szerokiego tchnienia bogatej, twórczej duszy, która w ogniu swych natchnień surową rudę przetapia i przetwarza na spiż i stal i, choć z tej samej czerpie skarbnicy, sama dopiero nadaje mowie wysokie piętno duchowego szlachectwa.

Ale i gwara ludowa w miarę zacierania się różnic między wsią i miastem zwolna tracić zaczyna dawne, piękne swe cechy. Zakrada się do niej miejski pył, który zarzuca i grzebie co najpiękniejsze kwiaty; plamić ją zaczynają rozmaite obce naleciałości... Czy wraz ze strojem ludowym jest ona skazana na zagładę? Czy jak piosenkę ludową zachwaścić ją mają z przedmieść i miast groszowe śpiewki tinglowe i zwroty kupletowe, w których cynizm walczy o lepsze z polszczyzną, pożal się Boże? Czy niwelująca siła życia zgniecie ją zupełnie, a na jej miejscu rozpanoszy się również ten wy'arty, bezbarwny wolapik, którym posługuje się inteligentny obywatel dwudziestego wieku, ten „najbrzydszy język", który plami się z zatrważającą szybkością?

Ktoś powiedział, iż człowiek ma tyle dusz, ile posiada języków, ale faktem jest, że przez przyswajanie sobie tych nowych a obcych sobie dusz, traci się zwykle własną, tak jak ją już zatracił nasz nowoczesny, potoczny język, na który stopiły się wszelakie żargony wszystkich inteligencyi świata.

Maluczko, a rozmaite esperanta okażą się zgoła zbędnemi, pewnego bowiem dnia spostrzeżemy się, że nasz — ten najbrzydszy — język zrozumiały jest dla całego świata tak samo, jak my rozumiec zaczniemy wszystkie inteligenckie żargony innych ludów.

Skonsolidowana solidarność nacyi ukoronowana tak imponującym sukcesem skonstatuje w tym fakcie definitywny tryumf idei internacyonalistycznej i konkretne bankructwo nacyonalistycznych i separatystycznych illuzyi...

To ma być ponoś także po polsku.

A ten sposób wysławiania się ma przedewszystkiem tę wyższość nad wszelkimi innymi, iż jest powszechnie zrozumiały — w każdym kraju i za wszelką granicą. Dla przekonania zaś niedowiarków podejmuję się zdania te przetłómaczyć na jakikolwiek obcy język i ofiarowuję każdemu z mych rodaków, który, nie znając danego języka, nie zrozumie zawartej w tych zdaniach myśli, do wyboru: 3 indyki, z tych, co to myślały i zdechły, albo 3 prawdziwe gęsi, które nigdy nie myślały i też im łeb ucięto, 3 placki z makiem, albo też trzy kwartalne abonamenty na „najpopularniejszy" dziennik lwowski.

Ale myliłby się, kto z faktu posiadania tego „najbrzydszego języka" chciałby wysnuwać wnioski o naszych wyjątkowych zdolnościach językowych i rósłby w dumę w mniemaniu, że jesteśmy narodem polyglotów, z pośród którego kiedyś rekrutować się będą portyerzy dla hoteli całego świata. Najpomyślniejsza przyszłość bowiem nie z'ści nam napewno tego ambitnego marzenia. Nie koniecznie trzeba znać tego, kogo się okrada, bliższa nawet znajomość z nim ściąga podejrzenia i zmusza do pewnej ogledności.

To też nie koniecznie trzeba wiedzieć, iż Włoch wymawia *sc* jak *sz*, by powiedzieć, że zapamiętanie w zabagnianiu ojczystego języka idzie u nas „kreszczendo".

Z całą stanowczością można też twierdzić, iż właśnie ci najchętniej posługują się najbrzydszym językiem, którzy z piękniejszych stron nie znają ani swojego własnego, ani też obcych, a jest to tylko inna odmiana tej zdolności do przeidealizowywania samych siebie, przed którą nieco wyżej sam złożyłem korny, pełen sentymentu ukłon.

O wiele już łatwiej z wewnętrznych „psychicznych" przesłanek możnaby wyprowadzić inną, również wybitną cechę „najbrzydszego języka". Jesteśmy narodem, który aż do warcholstwa pielęgnował zawsze indywidualizm, który antispołeczne pierwiastki teoryi Nietzschego przyjmował z dumą na rachunek jego polskiego pochodzenia.

Nic więc dziwnego, że tworząc „najbrzydszy" swój język, wydaliśmy z nim również walkę prawidłom gramatyki i składni.

STEFAN GACKI.

AWANS KOLEJOWY.

(*Telefonem od naszego korespondenta*).

Wiedeń, 24 grudnia.

Grudniowy awans kolejowy, o ile dotyczy Galicyi przedstawia się następująco.

STATUS. I. Tytuł nadinspektora otrzymał Jan Terlecki, inspektor w Stanisławowie.

Tytuł inspektora otrzymali: Jakób Tannenbaum, starszy komisarz budowlany w Stanisławowie, Michał Skulski, starszy komis. bud. w Tarnowie, Hugo Pekel starszy kom. budowl. w Stryju, Wacław Przybylski, sekretarz kolejowy w Krakowie, Zygmunt Swatoń, sekr. kolejowy we Lwowie, Gustaw Flach, sekr. kolejow. w Stanisławowie.

Tytuł sekretarza kolejowego otrzymali: Izrael Glanz, kom. kolej. we Lwowie; Jan Radzięda, kom. kol. w Stanisławowie, Michał Nycz, kom. kol. w Krakowie; Emil Blumenthal, kom. kol. w Krakowie.

Tytuł starszego komisarza budowlanego otrzymał Michał Górski, komis. budowl. we Lwowie, oddział 3.

Do rangi V. (6400 K) posunięty został Alfred Saller tyt. nadinsp. w Krakowie.

Do rangi VI. (4800 K) posunięci zostali: Daniel Dryliński str. komis. budowl. w Stanisławowie, Józ f Trzciński str. kom. budowl. w Sanoku, Bolesław Walter, st. kom. bud. w Krakowie, Michał Gamoła, tyt. inspektor we Lwowie, Herman Mankel st. kom. bud. w Krakowie, Józef Kirschner, tyt. insp. w Woli Duchackiej, Józef Dymnicki, tyt. inspek. w Żywcu, Pinkas Wasserstrom, st. kom. budowl.w Krakowie, Maryan Niewiadowski, st. komis. budow. w Jaśle, Jakób Gelbard, tyt. insp. w Stanisławowie, Jakób Grauer, tyt. insp. w Stanisławowie, Edmund Schäffer, sekr. kolej. we Lwowie.

Do rangi VII (3600 K.) posunięci zostali: Witołd Banaszkiewicz, tyt. sekretarz kol. w Krakowie, Antoni Chilarski, tyt. sekr. kol. we Lwowie, Roman Haninczak, komisarz maszynowy we Lwowie, Franciszek Guziakiewicz, tyt. starszy komisarz kol. w Delatynie, Henryk Zajączkowski, tyt. sekr. kol. w Stanisławowie, Stanisław Spitzer, tyt. sekr. kol. w Krakowie.

STATUS II a. Tytuł nadinspektora otrzymał Zygmunt Śliwiński, inspektor w Stanisławowie.

Do rangi VII posunięty został Leon Rosenblatt, geometra I klasy w Stanisławowie

STATUS II b. Tytuł nadinspektora otrzymał Hugo Pollak, inspektor we Lwowie.

Tytuł inspektora otrzymali: Izak Neiger, st. komisarz maszynowy w Kołomyi, Michał Czechowicz, st. oficyał w N. Sączu.

Tytuł starszego rewidenta otrzymali: Tadeusz Torosiewicz, rewident we Lwowie, Franciszek Liptak, rewident w Krakowie.

Tytuł starszego oficyała otrzymał Tadeusz Dobrzyński, oficyał w Kopyczyńcach.

Do rangi VI. (4800 kor.) posunięci zostali: Bron. Pierzchała, st. rewident w Krakowie; Maks Ganahl, tyt. inspektor we Lwowie; Adam Szyszkowski, tyt. inspektor w Stryju; Leon Sikorski, tyt. inspektor w Czortkowie; Kalman Hülter, tyt. inspektor w Drohobyczu.

Do rangi VII. (3600 kor.) posunięci zostali: W. Małek, rewident w Stanisławowie; A. Niemczyk, oficyał w Jarosławiu; L. Rewakowicz, oficyał w Podgórzu; A. Grotkowski, oficyał w Pyszkowcach; A. Stadnikiewicz, tyt. starszy oficyał w Rzeszowie; B. Śmigielski, oficyał w Tarnowie; W. Szafarz, oficyał w Jaśle; A. Wioch, rewident w Krakowie; J. Eisenbach, rewident we Lwowie; A. Stec, oficyał w Stanisławowie; P. Kinda, oficyał w Podgórzu; L. Knobloch, oficyał w Zabłowie; L. Kwiatkowski, oficyał w Rzeszowie; J. Marciszewski, oficyał w Rymanowie; E. Strauss, rewident w Krakowie; K. Spałek, rewident w Krakowie; S. Galotzy, rewident we Lwowie; E. Bürgel, tyt. st. rewident w Stanisławowie; A. Żukowski, rewident w Stanisławowie.

Czas odnowić przedpłatę za styczeń, rok 1913.

Lwów, 24. grudnia.

Kalendarzyk:

Wtorek (24 grudnia): rzym.-kat. Adama i Ewy ✝ Wig. Gr.-kat.: 11. Danyła.

Środa (25 grudnia): rzym.-kat. Boże Narodzenie. — Gr.-kat.: 12. Spirydona.

Czwartek (26 grudnia): rzym.-kat. Szczepana Męcz. Gr.-kat.: 13. Ewhenija.

Wschód słońca o g. 7.18 rano, zachód słońca o g. 3.23 po południu.

Prognoza na dziś:

Galicya wschodnia: Pogoda, miejscami mgła, trochę cieplej, wiatry mierne o kierunku niepewnym.

Galicya zachodnia: Zmiennie, bardzo ciepło, wiatry południowo-wschodnie, mierne.

KRONIKA.

Repertuar teatru miejskiego:

We wtorek, 24 grudnia z powodu Wigilii Bożego Narodzenia przedstawienia nie będzie.

W środę o g. 3.30 „Dobrze skrojony frak", krotochwila w 4 aktach G. Drégelyego.

W środę o g. 7.20 „Kochany Augustynek", operetka w 3 aktach L. Falla.

W czwartek o g. 3.30 „Wesele w Ojcowie", balet w 1 akcie K. Kurpińskiego i „Kuglarz", opera w 3 aktach Masseneta.

W czwartek o g. 7.30 „Ewa" operetka w 3 aktach F. Lehara.

Kwesta T. S. L. W celu zapobieżenia możliwym nadużyciom Zarząd Zwią ku okręgowego T. S. L. we Lwowie podaje do wiadomości, że zbierający w czasie świąt datki na T. S. L. są zaopatrzeni w legitymacye wystawione przez odnośne Koło T. S. L., a widymowane w zarządzie Związku. Datki mogą być zbierane tylko do skarbonek zamkniętych i opieczętowanych. Uczniowie szkół średnich ze względu na przepisy szkolne upoważnień nie otrzymują.

Z Kasyna miejskiego. W sobotę 28. b. m. wieczór z tańcami. Początek o 8 w. Dla panów strój balowy. Lista otwarta.

„Wędrowca", ilustrowanego czasopisma, poświęconego sportowi i turystyce oraz krajoznawstwu, wyszedł nr. 28 w nadzwyczaj pięknej, jak zwykle zresztą szacie, wyróżniającej to pismo dodatnio od innych tego rodzaju wydawnictw. Wśród artykułów zwraca uwagę dr. St. Gruińskiego rzecz o stolicy kaszubskiej Szwajcaryi, dr. Adama Lewickiego: W Grecyi, T. Zwisłockiego opis podróży automobilem z Lyonu do Genui, dalej prześliczny artykuł Br. Rychter-Janowskiej „Z Włoch", ozdobiony kilku przepięknymi rysunkami tej utalentowanej artystki-malarki, prof. R. W.: „Z kniei", z kroniki towarzyskiej, bogata kronika i t. d. Całość zdobią liczne, bardzo starannie wykonane ilustracye.

Czytelnikom, współpracownikom i przyjaciołom „Gazety Wieczornej" ślemy tradycyjne życzenia Wesołych Świąt.

Najbliższy numer „Gazety Wieczornej" pojawi się w piątek w południe.

Redakcya przyjmuje interesentów w czasie świąt od godz. 11 do 12 w poł.

Administracya urzęduje w czwartek od 10 do 12 przed południem.

O dyrektora Banku krajowego. Dzisiejsze poranne „Słowo Polskie" zamieszcza następującą notatkę:

„Krążą pogłoski, że Rada nadzorcza Banku krajowego na stanowisko dyrektora po ustępującym od Nowego Roku dr. A. Zgórskim uchwaliła powołać dr. Jana Steczkowskiego. Przeciwko tej uchwale zaprotestowali dwaj członkowie Rady, Rusini pp. dr. Fedak i dr. Korol. — Wczoraj rano udali się oni z zażaleniem na powyższą uchwałę do namiestnika dr. Bobrzyńskiego. P. namiestnik zawiadomił bezpośrednio potem Wydział krajowy, że dyrektorem Banku musi być mianowany Rusin. W przeciwnym razie namiestnictwo założy protest. Na dyrektora po dr. Zgórskim ma być upatrzony dr. Kormosz, adwokat z Przemyśla, człowiek bez żadnych kwalifikacyi fachowych. O ile wiemy, zajmował się dotąd parcelacyą w sposób spekulacyjny".

Zasięgnęliśmy natychmiast w sferach dobrze o przebiegu sprawy poinformowanych informacyi, z których wynika, że wiadomości „Słowa" są od a do z zełgane! Namiestnik wcale nie protestował przeciw powołaniu dra J. K. Steczkowskiego i nie domagał się nominacyi Rusina. Dyrektorów Banku kraj. mianuje Wydział krajowy na propozycyę Rady nadzorczej Banku krajowego. Na nominacyę rząd niema żadnej ingerencyi. Żaden „protest" namiestnika nie mógłby unicestwić nominacyi, dokonanej przez Wydział kraj. Notatka „Słowa" obliczona jest na naiwnych. Celem jej jest stworzenie pozoru, że znowu wszechpolacy „uratowali" placówkę polską. Sprawa według autentycznych naszych informacyi przedstawia się tak: Jeszcze przed dwoma tygodniami uchwaliła Rada nadz. Banku kraj. zaproponować Wydziałowi kraj. dr. Steczkowskiego. Ruscy członkowie Rady forsowali — nie dr. Kormossa, jak pisze „Słowo" — lecz p. S., obecnie urzędnika w Wiedniu. Kandydatura ta jednak oczywista nie znalazła żadnego poparcia. Dr. Steczkowski już od dwóch tygodni jest jedynym kandydatem. Prawdopodobnie już na dzisiejszej sesyi Wydziału kraj. wybór jego będzie dokonany. Notatka dzisiejszego „Słowa Polskiego" wywołała w interesowanych kołach najwyższe oburzenie. Kiedyż wreszcie — mówiono naszemu współpracownikowi — skończy się to wieczne sianie podejrzeń, ta zakłamana kampania, ta cyniczna i bezwstydna robota! Z najzimniejszą krwią puszcza „Słowo" w świat wyssane z palca wieści, puszcza je w przeddzień świąt, licząc na to, że zaprzeczenie skłamanych wiadomości przyjdzie aż po kilku dniach. Po wyssanych z palca alarmach uniwersyteckich — alarmy bankowe! Kłamstwo jeździ na kłamstwie i kłamstwem pogania....

Figle zimowe. Coś się zepsuło w mechanizmie niebieskiej meteorologii i to od dłuższego czasu. Wszak dawniej o tym czasie, w drugiej połowie grudnia, w okresie świąt Bożego Narodzenia, panowały zawsze silne mrozy, dużo było śniegu, tak że pojęcie wigilii łączyło się niejako z zimowem tłem, z tem *milieu* zimowego krajobrazu. W ostatnich jednak latach bardzo często obchodziliśmy Boże Narodzenie przy temperaturze kilku stopni powyżej zera, przy akompaniamencie bijącego o szyby deszczu, wśród błota i brzydkiej sloty. I w tym roku z zimy niema ani śladu. Ale na szczęście pogoda dopisuje. Ciepło, jasno, sucho. Zwłaszcza noce prześliczne, bo księżyc w pełni oświetla je swymi srebrnymi, łagodnymi promieniami. Czy się to jednak nie pomści na wiosnę? I czy na Wielkanoc 1913 r. nie powtórzy się historya z tego roku, ze śnieżnemi zaspami w Wielkim tygodniu.

Ś. p. Józef Hańczakowski, poseł sejmowy, o którego przedwczesnej śmierci donieśliśmy dziś rano, był długie lata zastępcą prokuratora we Lwowie, następnie naczelnikiem sądu w Ottynii, a wreszcie radcą sądu krajowego przy sądzie obwod. w Stanisławowie. Do Sejmu wszedł w r. 1907 przy wyborach uzupełniających po ś. p. Gidziuku a następnie w 1908 r. został przy wyborach powszechnych ponownie wybrany z tego samego okręgu. W r. 1910 zastępował członka Wydziału krajowego Kiweluka i w tym czasie opracował referat w sprawie zniesienia rejonów fortyfikacyjnych w Krakowie. W Sejmie należał do klubu staroruskiego z pod znaku Korola. Odznaczał się wybitnemi zdolnościami jako prawnik i kodyfikator. Wobec narodowości polskiej zajmował stale stanowisko życzliwe i przyjazne. W ostatnich dwóch sesyach sejmowych wskutek słabości nie brał już udziału. Liczył lat 41. Pozostawił żonę Maryę z domu Hojwanowiczówną.

Mianowania. Cesarz zamianował posiadającego tytuł i charakter radcy dworu st. radcę budownictwa w państwowej służbie budownictwa, wiceprezydenta miasta Krakowa Józefa Sarego w Krakowie, radcą dworu ad personam. Minister oświaty mianował prow. kierownika seminaryum naucz. w Rudniku Józefa Zagrodzkiego dyrektorem tegoż zakładu.

Kurs narciarski w Sławsku zapowiada się znakomicie. Zgłosiło się nań 81 uczestników. Warunki śniegowe i pogodowe przedstawią się jak najlepiej. Sławsko i cała wieś zasypana jest śniegiem. Inż. Werner Werenskiöld, kierownik oddziału norweskiego zjeżdża do Lwowa dziś wieczorem, do Sławska zaś przyjeżdża równocześnie z kursem t. j. w środę w południe. Dla uczestników kursu, wyjeżdżających ze Lwowa w środę o 7.30 rano przygotowane będą osobne wagony. Wagon dla narciarzy będzie również dołączony do pociągu wieczornego wyjeżdżającego dziś o 6.50 wieczorem. Bilety zniżone należy nabyć w biurze St. Sokołowskiego ul. Jagiellońska 3.

Kult „białego cara" w Galicyi. Przed paru dniami powtórzyliśmy wiadomość o zajściach w Żegiestowie, gdzie moskalofile, podburzeni przez agitatorów, mieli napaść na sklep kolonialny i obrabować go. Otóż tamtejszy proboszcz gr. kat., ks. Roman Przystopski, nadesłał nam dziś list, w którym twierdzi, że wiadomość ta jest nieprawdziwa, że ubliża jego parafianom, robiąc z nich rozbójników. Twierdzi dalej ks. P., że nietylko nie było w Żegiestowie żadnego rozboju, ale nawet nic takiego, co mogłoby dać „zaczepkę" do zmyślenia tego rodzaju sensacyi, prosi więc o odwołanie tej pogłoski, co niniejszem z zadowoleniem czynimy.

100.000 wypadków. Wczoraj wieczorem stacya ratunkowa opatrzyła stotysięcznego z rzędu pacyenta od chwili założenia. Jest nim Marek Kraus, kapral 30 pp., który zgłosił się na stacyę z pokaleczoną ręką.

Święta w znaku pokoju.

Serbia w Canossie. — Trudności w rokowaniach londyńskich.

-wów, 24 grudnia.

(*g*)Skończyły się dni gorączki. Zmora, która dotychczas ciężyła na wszystkich, co sobie dokładnie zdawali sprawę z ogromu niebezpieczeństwa, grożącego kulturze i cywilizacyi współczesnej, rozwiewa się niby sen jaki przykry. Prochaska i Tahy, port nad Adryatykiem i Albania — wszystkie te znaki zapytania wkrótce już znajdą jasną odpowiedź, która — miejmy nadzieję — będzie też pełną satysfakcyą dla monarchii austro-węgierskiej.

Nie należy jednak zapominać o jednej okoliczności: o tem, że ludność Austro-Węgier po raz drugi już w ciągu czterolecia narażona została na bardzo dojmujące przesilenie ekonomiczne. Nie chcemy psuć nastroju świątecznego rozpamiętywaniem, kto winien, ale tego chyba ma ludność monarchii pełne prawo domagać się, aby ze strony miarodajnej zapewniono, że nie powtórzą się w przyszłości na południu Austro-Węgier te burze, które do ruiny doprowadzić mogą całe warstwy społeczeństwa. Wszyscy ci kupcy i przemysłowcy, którzy ponieśli w ostatnich dniach tak ogromne straty, wszyscy ci robotnicy, którzy z powodu bezrobocia znaleźli się na bruku — całe społeczeństwo ugodzone w najczulsze wiązadła ekonomicznych swych interesów, ma prawo żądać, aby mu zagwarantowano, że możliwość powtórzenia się takich przesileń będzie wykluczona.

Gwarancyę tę może zaś mu dać państwo przez to iż nawiąże trwały i przyjazny stosunek z swym południowym sąsiadem. Serbia jest poważnym odbiorcą wyrobów austryackich go przemysłu, Austrya zaś potrzebuje koniecznie bydła i nierogacizny serbskiej. Jeśli monarchia zerwie z swą dotychczasową polityką skrajnie agrarną mogą się stosunki między nią a Serbią jak najprzyjaźniej ułożyć, ku pożytkowi tych wszystkich, co pod obuchem obecnego przesilenia ucierpiali.

Serbia w Canossie.

Berlin. (Tel. wł.) „Vossische Ztg.“ donosi z Belgradu, **że potwierdza się, iż Serbia co do Albanii i portu nad Adryatykiem godzi się na propozycye konferencyi ambasadorów.**

Rozbicie się rokowań pokojowych?

Londyn (TBK) Na wczorajszem posiedzeniu konferencyi pokojowej oznaimili delegaci państw bałkańskich główne warunki pokoju. **Żądają oni, aby Turcya odstąpiła cały obszar na zachód od linii zaczynającej się od punktu na zachód od Rodostos nad morzem Marmara a sięgającej od punktu w Malatrabay nad Morzem Czarnem, łącznie z półwyspem Gallipoli. Obszar ten obejmuje również Albanię, lecz decyzya co do niej zastrzeżona ma być mocarstwom. Warunki zawierają dalej żądanie odstąpienia wysp egejskich, wyrzeczenia się przez Turcyę wszelkich pretensyi do Krety.**

Pełnomocnicy państw bałkańskich podpisali te warunki, nad którymi rozwinęła się szczegółowa dyskusya. Warunki te przed zawarciem ostatecznej ugody będą prawdopodobnie złagodzone.

Konstantynopol. (TBK.) Według informacyi, udzielonych przez Portę, mieli pełnomocnicy bałkańscy na wczorajszem posiedzeniu konferencyi **pokojowej kategorycznie odmówić zaprowiantowania twierdz oblężonych oraz przedłożyć definitywne warunki pokojowe z oświadczeniem, że nie dopuszczą do dyskusyi nad nimi. Ponieważ warunki te są dla Turcyi nie do przyjęcia, rozbicie konferencyi uchodzi za nieuniknione. Sądzą, że mocarstwa będą interweniowały i zaproponują sąd rozjemczy.**

Sofia. (TBK.) W sobraniu omawiał prezes gabinetu Geszow szczegółowo rokowania pokojowe; właściwej pracy delegaci pokojowi jeszcze nie rozpoczęli. Premier uznał za niedopuszczalne, aby już teraz zgodzić się na zaopatrzenie oblężonych twierdz tureckich w żywność. Mowca sądzi, że mocarstwa pragną szczerze pokoju. Jeżeli nieprzyjaciel uniemożliwi zawarcie pokoju, można spokojnie zaufać odświeżonym siłom związkowych państw bałkańskich i liczyć na sympatye mocarstw. Związek bałkański jest niezachwiany. Wszyscy mowcy następnie wyrażali rządowi zaufanie.

Wiedeń. (Tel. wł.) Wiadomość, jakoby Turcya zamierzała zaapelować do „reunionu“ ambasadorów na wypadek, gdyby nie udało się jej przeprzeć na konferencyi pokojowej żądania w sprawie zaprowiantowania miast oblężonych, uważają w kołach tutejszych za nieprawdopodobną. „Reunion“ ambasadorów nie jest bowiem w tej chwili zebrany i przed Nowym Rokiem nie rozpocznie swej dalszej działalności.

Londyn. (Tel. wł.) Na wczorajszej konferencyi delegatów pokojowych nastąpił **znaczny krok naprzód, ponieważ Turcya oświadczyła gotowość pertraktowania z Grekami,** poczem państwa bałkańskie sformułowały swe żądania. Posiedzenie odroczono do soboty, aby tureccy delegaci mogli swemu rządowi przedłożyć żądania związkowców.

Kwestyę zaprowiantowania Adryanopola pozostawiono otwartą, ponieważ co do niej toczą się bezpośrednie rokowania między Konstantynopolem a Sofią.

(*Przyp. Red.* Telegram naszego korespondenta, pozostający w jaskrawej sprzeczności z wiadomościami B. K., dowodzi, że sytuacya w Londynie nie jest tak beznadziejna, jakby to wynikać się zdawało z depesz B. K.).

Belgrad. (Tel. wł.) „Stampa“ donosi z Londynu, że **delegat serbski Nowakowicz zaprotestował przeciwko dalszej akcyi wojennej Turków w Skutari i zagroził, że Serbia rozpocznie ofenzywę przeciw Turkom, jeżeli te walki nie ustaną.**

Wdzięczni Bułgarzy.

Sofia. (Tel. wł.) Sobranje uchwaliło wysłać do Kokowcewa telegram z podziękowaniem za jego ostatnią mowę w Dumie.

Echa oszustw Olkusznika.

Wiedeń. (Tel. wł.) Z Lublany donoszą, że sprzedano wczoraj na licytacyi dobra aresztowanego w Krakowie za liczne oszustwa Józefa Olkusznika. Dobra te leżały w Krainie w Breitenau. Sprzedano je za 225.000 kor.

Giełda poranna.

Wiedeń, dnia 24-go grudnia 1912. — godz. 10 m. 30.

Marki 118·17, Renta majowa 85·80, Renta koron węg 85·70 (płac.), Akcye austr. zakł. kred. 617·00, Akcye węg. bakł. kred. 805·—, Akcye Anglobanku 324·00, Akcye Unionbanku 583·00, Akcye Bankvereinu 5 2·—, Akcye Landerbanku 507·—, Akcye kolei państwowej 695·—, Lombardy 02·25, Akcye Fabryki broni —·—, Akcye tytoniowe —·— Akcye Alpiny 10 2·—, Akcye Rima Muranyi 716·50, Akcye Prask. Tow. żel. 3475·—, Losy tureckie 218·50, Ruble 54·—, 4% listy zast. Banku hipot. 82·—, 4½% listy zast. Banku hipot. 90·50, 4% galic. poż. kraj. z r. 1893 82·50, 4% listy zast. Banku kraj. 86·25, 56 l. listy Tow. kredyt. ziem. 82·25, 4½% Gal. Bank. kredyt. ziem. 94·25—00·00, Akcye Skoda 743·—.

Usposobienie: silne.

† Ś. p. Jerzy Czartoryski.

Wiedeń. (Tel. wł.) Wczoraj zmarł tu ks. Jerzy Czartoryski z Wiązownicy, członek Izby panów, poseł na Sejm krajowy i długoletni członek Koła polskiego w Wiedniu. Zmarły liczył lat 85. Pogrzeb odbędzie się w sobotę 27. b. m. w Sieniawie, gdzie znajdują się groby rodzinne.

Książę Jerzy Czartoryski urodził się 24 kwietnia 1828. Od r. 1867 był posłem na Sejm (ziemi jarosławskiej), później wysłany do Rady państwa. Po śmierci brata, Konstantego, powołany do Izby panów, otrzymał godność para Austryi. W r. 1861 poślubił Maryę Czermakównę, córkę profesora z Pragi.

Zstępuje do mogiły jedna z przepięknych postaci życia publicznego tej dzielnicy, — duży patryota, mąż samodzielny, charakter lity, umysł o szerokich horyzontach, niezdolny do kompromisu, — uosobienie pewnego kierunku, systemu, myśli przewodniej, której służył całe życie.

Ks. Czartoryski od młodości był wyznawcą Polski — słowiańskiej, był po swojemu zwolennikiem solidarności słowiańskiej, w której widział pogrom germański i dużą rolę Polski. Dał tej myśli wyraz życiowy — już, gdy poślubił dzielną Czeszkę, mieszczańskiego rodu, a z nią ukochał Czechy, Słowian.

Jeden z przedstawicieli idei federacyjnej w Austryi, idei szerszej autonomii historycznych indywidualności.

Charakter bez skazy, hardy i niepodległy, reprezentował do końca, gdy wiek kazał mu się usunąć z czynnego życia, wysoki poziom służby narodowej, stawia przy wielkich ideałach i wielkich celach.

Ekonomista.

—

Z powodu przesilenia ekonomicznego.

Rozmiary przesilenia ekonomicznego, jakie przechodziło państwo w roku 1912, a przedewszystkiem nasz kraj, będzie jeszcze trzeba zbadać. A rozmiary te są niezwyczajne i trzebaby się w historyi przesileń gospodarczych u nas cofnąć do roku 1873, a może nawet do roku 1866, iżby módz znaleźć porównanie. Przechodził kraj niepowodzenia rolnicze, które dosięgały swoją wielkością nieurodzajów tegorocznych, a może je nawet przewyższały, przechodził czasy silnego napięcia na targu pieniężnym i drożyzny pieniądza, przechodził stan napięcia politycznego i grożącej wojny, lecz od lat pięćdziesięciu nigdy się tak, jak obecnie, nie złożyło, ażeby wszystkie te przyczyny, które tamują życie gospodarcze, występowały równocześnie i dlatego to od lat pięćdziesięciu po raz pierwszy przechodzi kraj wprost katastrofę gospodarczą, przewyższającą swoją siłą wszystkie poprzedzające. A jeżeli pomimo tej katastrofy, która pochłonęła niezliczony szereg egzystencyi, kraj jest zdolny do dźwignięcia się i gospodarczo nie upadł, to zawdzięcza to jedynie swojej własnej energii ekonomicznej, wytworzonej w ostatnich dziesięcioleciach przez pracę ostatnich dwóch pokoleń w kierunku wzbudzenia świadomości podstawowego dla życia narodu znaczenia rozwoju gospodarczego.

Kraj nasz, losem związany z państwem austryackiem, dzielić też musi jego los gospodarczy. Do niedawna zupełnie, obecnie już tylko w pewnej, chociaż znacznej bardzo, na każdy sposób zbyt znacznej mierze kolonią dla zachodnich prowincyi austryackich, jest poważnym odbiorcą tychże prowincyi wytworów przemysłowych, i niemniej poważnym klientem ich bogatych w środki pieniężne instytucyi kredytowych. Powodzenie gospodarcze państwa wychodzi przedewszystkiem na korzyść tych zachodnich prowincyi, ich fabryk, ich banków. Do nas płynie korzyść dopiero za ich pośrednictwem, korzyść mocno rozwodniona, korzyść odbiorcy, mającego łatwiejszy kredyt i ten kredyt mniej lub więcej drogo opłacający na rzecz zachodniego przemysłu. zachodniego banku. Lecz w chwili stagnacyi ekonomicznej, my w pierwszym rzędzie ponosimy jej koszta, bo przedewszystkiem nam, kolonii ekonomicznej, cofa zachodni przemysł, cofają zachodnie banki, swój kredyt. Z dobrej konjunktury państwa spada na nas słaby odblask, złą konjunkturę odczuwamy pierwsi w całej, pełnej, nieubłaganej rozciągłości.

Nigdy tego bardziej, dotkliwej, nie odczuwaliśmy, jak w ubiegłym roku i kiedy pieniądz był tani, kiedy zachodnie banki i zachodnie rynki przemysłowe cierpiały na nadmiar gotówki i łatwość produkcyi, zalewały nas pieniądzem i towarem, nie tylko nasycając, ale niestety niezdrowo przesycając — nasze potrzeby. Doskonale spekulowały na drzemiące instynkty łatwego wzbogacania się, ażeby w pierwszej chwili zmiany konjunktury odwrócić się od nas, przedewszystkiem od nas, jako od kolonii, która dla nich jest głównie przedmiotem gospodarczego wyzysku. O ile chodzi o zachodnie banki, możnaby wskazać chyba na jeden lub dwa wyjątki, które mają poczucie ciągłości swego bytu w kraju i którym to poczucie podyktowało rozwagę i sumienność.

A państwowy Bank austro-węgierski? On przedewszystkiem typowo poucza, jak mało mają wielkie banki powodu martwić się przesileniem ekonomicznem państwa: za rok 1912 wypłaci swoim akcyonaryuszom największą dywidendę od 38 lat, bo od r. 1874 (roku po krachu giełdowym z końcem 1873). A zawdzięcza to rekordowemu wzrostowi swego portfelu i rekordowemn wzrostowi swej stopy procentowej. W dziesięcioleciu 1892—1902 najwyższy przeciętny stan portfelu Banku austro-węgierskiego wynosił w roku przesilenia 1899 — 371·2 milionów koron, lombardu 49 milionów koron, a najwyższa przeciętna roczna stopa procentowa 5·036 prc. Od tego czasu łączny przeciętny stan portfelu i lombardu spada, stopa procentowa (eskontu weksli) spada od 5 lutego 1902 na $3^1/_2$ prc. i trzyma się na tej wysokości przez pełne trzy lata, ażeby od r. 1905 znowu się podnosić, aż w następnym roku przesilenia 1907 osiągnąć przeciętny stan reeskontu 666·3 milionów, lombardu 48·9 milionów, stopy procentowej (eskontu weksli) 4·896 prc. Ów rok 1907 był na owe czasy punktem kulminacyjnym napięcia kredytowego w Banku austro-węgierskim i napięcia stopy procentowej.

Ale cóż owe napięcie znaczy, wobec stosunków jakie zapanowały w roku 1912? Stopa procentowa trzymała się od września ubiegłego roku do 26 października 1912 na wysokości 5 prc., do 16 listopada 1912 na wysokości $5^1/_2$%, obecnie wynosi 6 prc., stan portfelu, którego przeciętna wysokość w r. 1911 wynosiła 790·1 milionów, lombardu 74·1 milionów, przedstawiał z końcem r. 1911 niebywałą przedtem wysokość miliarda i 141·8 milionów w wekslach i 186·7 w lombardzie efektów, aby z dniem 15. grudnia 1912 wzróść do wysokości ostatecznie rekordowych cyfr miliarda i 219·1 milionów portfelu wekslowego i 251·6 milionów lombardu papierów. Więc nie można powiedzieć ażeby Bank austro-węgierski (z własną korzyścią!) nie zaspokajał w wydatny sposób potrzeb kredytowych państwa, lecz, czy w tej samej mierze potrzeby kredytowe kraju, co państwa, to inne pytanie! Wprawdzie może Bank austro-węgierski na to wskazać, że i jego galicyjski portfel wzrósł niemal w dwójnasób, lecz jaka część tego wzrostu idzie na rachunek filii zachodnich instytucyj, a jaka na istotne wzmożenie kredytu galicyjskiego, tego się nie dowiemy, a dopiero znajomość tego stosunku mogłaby nam dać niejedno wyjaśnienie, dlaczego i z czyjej bezpośredniej winy mizerya kredytowa w kraju przybrała w ostatnim roku taki katastrofalny charakter. Na razie nic nie uchyla naszego przypuszczenia, że ten wzmożony galicyjski portfel Banku austro-węg. przyniósł pomoc nie handlowi, rolnictwu, przemysłowi i przedsiębiorstwom krajowym, lecz tym samym zachodnim bankom, które nam w ciężkiej chwili, nasycone dorobkiem lat poprzednich, wypowiedziały służbę kredytową.

Jeżeli postępowanie tych zachodnich banków przeciwstawimy działalności naszych własnych, niestety nielicznych jeszcze większych banków, a przedewszystkiem Banku krajowego, który w tym roku przesilenia gospodarczego złożył świetny egzamin swej sprawności i głębokiego zrozumienia swego zadania i potrzeb kredytowych kraju, to może ciężkie doświadczenie, jakie kraj przechodził w ostatnim roku, nie przejdzie bezowocnie.

Dojrzeliśmy w zaufaniu do własnych sił, rozpoczynając usilną pracę ku uprzemysłowieniu kraju, trzeba, ażeby ta dojrzałość była coraz większa i głębsza i doprowadziła nas do równoległego podjęcia usiłowań ku u k r a j o w i e n i u k r e d y t u. Obok własnego przemysłu, niezawisłego od obcych, p o t r z e b a n a m w ł a s n y c h ź r ó d e ł k r e d y t o w y c h, w ł a s n y c h, a s i l n y c h w i e l k i c h b a n k ó w, n i e z a w i s ł y c h o d w p ł y w ó w o b c y c h. Jeżeli zdobędziemy się na ten czyn, a dość wzmożeni jesteśmy na siłach, ażeby tego czynu się podjąć, przyszłe przesilenie ekonomiczne zastanie nas lepiej uzbrojonymi.

Mówimy już o przyszłem przesileniu, bo wszystko za tem przemawia, że punkt kulminacyjny obecny leży za nami, że po uspokojeniu politycznem, przyjdzie uspokojenie gospodarcze, a w ślad za nim możność odrobienia ciężkich naszych strat, możność ponownego dorobienia się. Ale że linia życia gospodarczego linią jest falistą, a nieraz łamaną, że po latach uspokojenia i ponownego zagospodarowania się przyjść mogą znowu czasy depresyi, przygotować się do nich potrzeba zawczasu, przysposabiając własne środki ochronne i obronne. Przyszłe przesilenie ekonomiczne winno się rozbić o nasze własne siły gospodarcze: o siłę naszych własnych banków, naszego własnego przemysłu, te nowe twierdze ochronne. Budujmy te twierdze, póki czas, z wiarą w przyszłość!

HERMAN FELDSTEIN.

Bilans usiłowań i wyników w dziedzinie rękodzielnictwa.

Przejście ze starego do nowego roku nastraja mimo woli do zestawienia bilansu, do rozpatrzenia strony „winien" i „ma", do zsumowania podjętych usiłowań, a osiągniętych wyników w naszej pracy publicznej.

Aczkolwiek tak rozległa i różnorodna dziedzina, jak wytwórstwo przemysłowe, niemniej jak ewentualne wyniki szerokiej i wielostronnej akcyi, jaką jest popieranie interesów przemysłu, z trudnością tylko dadzą się pomieścić w ramach roku kalendarzowego — mimo to możliwe jest wytworzenie sobie pewnego poglądu krytycznego na tę akcyę.

W łańcuchu lat pracy nad odrodzeniem naszego d r o b n e g o w y t w ó r s t w a, stanowi dobiegający końca rok chlubne ogniwo, gdyż nie pozostał nie tylko w tyle w porównaniu z latami poprzednimi, lecz raczej je wyprzedził pod względem licznych i celowych starań z jednej, a owocnych i poważnych wyników z drugiej strony.

Doświadczenia nabyte w czasie ćwierćwiekowej pracy kraju, oraz prawie ćwierćwiekowej pracy państwa nad podniesieniem przemysłu, dają podstawę działalności wszystkich czynników, służących sprawie popierania drobnego przemysłu, oraz wskazują tym czynnikom drogi i środki, jakiemi postępować, względnie jakie stosować należy, aby zapewnić temu wytwórstwu lepsze jutro.

Wielką otuchą na przyszłość napawa ta okoliczność, że praca kraju nad podniesieniem rękodzieła nie trzyma się szablonu, lecz uwzględniając tętno życia, stara się do jego wskazań dostosować. Niemniej większej jeszcze, aniżeli dotychczas, wydatności usiłowań około popierania drobnego wytwórstwa, pozwala się spodziewać odczuwana coraz bardziej potrzeba konsolidacyi akcyi różnych czynników na rzecz krajowego rękodzieła oraz potrzeba przeprowadzenia rewizyi programu i systemu tej akcyi.

Nie mogę tu dziś wchodzić w ramach krótkiego artykułu w szczegóły usiłowań, podejmowanych w roku ubiegłym, a stanowiących pozycye stanu czynnego na rzecz krajowego rękodzieła; należałoby jednak wskazać, że wszystkie pola pracy, a przedewszystkiem asocyacya, bądź wytwórcza, bądź komercyalna, czy kredytowa, rozwój szkolnictwa i kursów zawodowych, subwencyonowanie przedsiębiorstw celem umożliwienia im uzyskania większej sprawności wytwórczej i handlowej, umożliwianie przemysłowcom nabywania w zagranicznych uczelniach i centrach przemysłowych szerszych wiadomości i praktyk zawodowych, przysparzanie naszemu wytwórstwu coraz liczniejszych dostaw publicznych, wspienie burs i ognisk dla młodzieży rękodzielniczej, powoływanie do życia i reorganizowanie stowarzyszeń przemysłowych, oraz jednoczenie ich w większe związki terytoryalne, wykazują znaczny postęp i zwrot ku lepszemu. W szczególności doniosłą pozycyę stanu czynnego stanowi ten pomyślny objaw, iż rękodzielnicy sami odnoszą się do wszystkich tych usiłowań z coraz większem zaufaniem i zainteresowaniem. zdając sobie sprawę z konieczności dostosowania się do zmienionych warunków gospodarczych i technicznych. Ten objaw uzasadnia nadzieję, że nasze drobne wytwórstwo będzie mogło brać z czasem coraz większy udział w zaspakajaniu potrzeb kupującej publiczności.

Z drugiej strony posiada i strona bierna bilansu liczne pozycye, z których zwłaszcza dwie są tak poważne, że nasuwają obawę, iż mogłyby, gdyby dłużej trwały, osłabić, jeżeli nie sparaliżować zupełnie osiągnięcie wyników dodatnich.

Otóż w pierwszym rzędzie przykre stosunki gospodarcze w kraju, które przez cały prawie ubiegły rok pozbawiały naszych przemysłowców możności korzystania z kredytu, względnie wskutek niezmiernie uciążliwych warunków uzyskania kredytu, wykluczały jakąkolwiek możność osiągnięcia zysku z wykonanych robót. Stosunki te zaostrzyły się jeszcze bardziej ku końcowi roku, gdy z powodu niepewności politycznej ustała wszelka produkcya przemysłowa, o ile nie odnosiła się do najżywotniejszych potrzeb życia codziennego.

Należałoby życzyć, aby zapowiadająca się

poprawa stosunków politycznych spowodowała zarazem poprawę stosunków gospodarczych, a więc aby z ustaniem przyczyn obecnego przesilenia, ustały możliwie najrychlej i jego skutki.

Drugim momentem niekorzystnym dla naszego wytwórstwa jest niechęć naszej publiczności do wyrobów rodzimej produkcyi. Nie wystarczy, aby nasz przemysłowiec umiał i mógł dobrze wytwarzać, musi on mieć ponadto możność zbycia wytworzonych wyrobów, a więc poparcie kupującej publiczności. Nie mniejszy obowiązek cięży pod tym względem na naszych kupcach, będących w dzisiejszym ustroju zazwyczaj pośrednikami między producentem a konsumentem, aby zaopatrywali swe magazyny i polecali rodzime wyroby.

Tylko wówczas bilans drobnego wytwórstwa będzie korzystny, jeżeli po stronie jego aktywów prócz usiłowań czynników publicznych, znajdzie się przeświadczenie sfer interesowanych o potrzebie korzystania z tych usiłowań, oraz o ile konsumenci oraz pośredniczący pomiędzy wytwórcami a konsumentami kupcy, ocenią dostatecznie konieczność udzielania swego poparcia akcyi, mającej na celu wzmocnienie nieodzownego dla każdego społeczeństwa stanu średniego.

H. EILE.

PANIKA PRZEDWOJENNA.

(*I*) Obawa przed zawikłaniem się Austro-Węgier w groźniejszy zatarg wojenny wywołała w państwie tem, przedewszystkiem zaś w Galicyi, która w razie spełnienia się owej obawy, mogła była stać się terenem wojny, wielką panikę wśród publiczności, zwłaszcza wśród tej jej części, która posiada wkładki w kasach oszczędności lub w innych instytucyach finansowych. Pod wpływem tej paniki rozpoczęły się runy, które ogromne, jak na nasze stosunki, sumy wycofały z ruchu i obiegu, a które i tak już wywołany zewnętrznemi przyczynami zastój w kredycie, podniosły na stopień dla całego gospodarczego życia nietylko już niebezpieczny, ale wprost zabójczy. Zagrożony w swej egzystencyi tym zastojem przemysł i handel daremnie zwracał się o pomoc do państwa i do jego instytucyi finansowych. Zarówno państwo, jak i jego instytucye nietylko nic nie uczyniły w kierunku złagodzenia tego, z politycznych przyczyn powstałego a gwałtownego przesilenia, lecz przeciwnie, chwyciły się taktyki wręcz przeciwnej, pogarszającej jeszcze i tak już fatalną wprost sytuacyę, same niejako wydając hasło do restrykcyi kredytowych — w celu zapewnienia sobie na wypadek wojny odpowiedniej ilości ruchomego kapitału. W niemałej też mierze ta właśnie taktyka zawiniła, że tak mało — jak się dziś okazuje — uzasadniona obawa przed wojną, spowodowała klęskę gospodarczą równającą się klęsce wojennej, a może nawet jeszcze ją przewyższającą.

W kołach wytrawnych ekonomistów taktykę taką uznano już za wręcz fałszywą i bardzo szkodliwą. W wiedeńskim klubie przemysłowców wygłosił niedawno docent prywatny uniwersytetu wiedeńskiego, znany z prac swoich ekonomicznych dr. Feliks Samory bardzo zajmujący wykład na temat: „Finansowe i gospodarcze skutki nowoczesnych wojen“, a w odczycie tym omawiał obszerniej także znaczenie tego rodzaju panik przedwojennych oraz ewentualne środki zaradcze ku ich uśmierzeniu. I on także doszedł do przekonania, że niema nic fałszywszego ze stanowiska gospodarczego i finansowego, jak restrykcye kredytu w chwilach obawy wojennej.

Doświadczenia ostatnich generacyi — wywodził dr. Samory — uczą wymownie, iż paniki, jaka powstaje w obliczu wojny lub w pierwszym czasie wojny, nie należy przeceniać. Czas, w którym dokonuje się wycofywania wkładek a wraz z niem restrykcya kredytu, jest zwykle dość krótki. Lecz runy takie spadają zwykle na banki i kasy oszczędności w chwili, w której dokonuje się także nagłe i gwałtowne wycofywanie zewnętrznych, dotychczas w kraju lokowanych i pracujących kapitałów. Zwykłe środki płynne kas i banków nie wystarczają wtedy na zaspokojenie takiego naporu; podwyższenie dyskontu bankowego również nie zdoła zapobiedz odpływowi złota poza granice kraju, ponieważ zagraniczne zobowiązania muszą być pokryte. Środek taki nie może dalej powstrzymać także silnego naporu wewnętrznego, ten bowiem spowodowany został nie tyle już większą potrzebą kredytu, ile wzrostem zapotrzebowania środków płatniczych. Wobec tego nasuwa się wielka kwestya, czy banki państwowe w takich razach wogóle dyskont swój podwyższyć powinny?

Gdy podczas wojny w r. 1866 Bank południowo-niemiecki usiłował zapewnić sobie płynność swoich zasobów pieniężnych przez podwyższenie dyskonta i silną restrykcyę kredytu, krok ten spotkał się z ogólnem potępieniem. W przeciwieństwie też do tego kroku pruski bank państwowy w r. 1866 i 1870, tak samo Bank austro-węgierski w r. 1866, zwłaszcza zaś Bank japoński podczas ostatniej wojny kierowały się zasadą, **że właśnie w tak krytycznym czasie przed lub wśródwojennym należy raczej przez liberalne udzielanie kredytu przyczyniać się do uspokojenia ogółu, aby powstałej nagle paniki nie zaostrzać jeszcze.**

Banki państwowe mogą to zaś czynić tem śmielej, ponieważ, jak uczy doświadczenie, tego rodzaju czas trwogi nie trwa długo. Podczas wojny w 1870/1 czas paniki obejmował jedynie mniej więcej trzy tygodnie przed i po wybuchu wojny i to tak po stronie pruskiej, jak i po stronie francuskiej. Nawet pierwsze przegrane bitwy po stronie francuskiej paniki nie tylko nie powiększyły, ale jej nawet nie przedłużyły i mimo tych klęsk — rychło ustała ona zupełnie. Bo na życie gospodarcze oddziaływa przedewszystkiem niepewność, obawa przed możliwością wojny. Już z chwilą, w której wojna faktycznie się rozpoczęła i gdy walka się toczy trwoga znika, publiczność przyzwyczaja się niejako do tego stanu rzeczy. Objaw to w tym kierunku znamienny, że np. w oblężonym i przez Prusaków bombardowanym Paryżu wkładek z banków i kas wcale nie wycofywano.

Takie uwagi o panice przedwojennej oraz o obowiązkach, ciążących w razie jej wybuchu na państwowych instytucyach finansowych, wypowiedział dr. Somary, a uwagi to chyba trafne.

Z doświadczeń dziejowych, na które się on powołuje, miarodajne sfery Austro-Węgier, tak w dziedzinie władzy państwowej, jak i w dzidzinie finansowej niestety nie skorzystały. Oboję nie zupełnie spoglądano obecnie z wyżyn tych sfer na to, jak z powodu restrykcyi kredytowych, do których bank państwowy sam dał hasło, sytuacya gospodarcza coraz groźniej się układała, jak wreszcie handel i przemysł w kilku krajach, zwłaszcza zaś u nas rozpaczliwie wprost pasować się zaczął z na miernemi trudnościami. A nawet wówczas, gdy ze wszech stron głośne odzywać się zaczęły skargi i wołania o pomoc, miarodajne te sfery z błędnej drogi nie nawróciły. Gdy zaś wybuchła panika, której źródłem była nie tylko obawa przed wojną, lecz także ogólne, przesileniem gospodarczem spowodowane zdenerwowanie, miarodajne sfery ograniczyły się do gołosłownych „wyjaśnień“ uspakajających, lecz na szeroko zakreśloną, mądrze zapobiegliwą akcyę zaradczą się nie zdobyły. Dziś ten fatalny błąd polityki państwa i wielkich instytucyi finansowych odkryła nareszcie także wiedeńska „N. Fr. Pr.“. I tak w ostatnim swoim przeglądzie giełdowym, mówiąc o obfitem zniwie procentowem Banku nustro-węgierskiego, dziennik ten pisze:

„Walter Bagehot w sławnem swojem studyum o Lombardstreet zwraca uwagę, że Bank angielski w czasach przesilenia wprawdzie podnosi ratę, lecz powyższym procencie tem hojniej udziela pożyczek i nie odmawia dyskontu. Co zaś za zasługę poczytuje się bankowi biletowemu, to obowiązywać powinno także banki prywatne. Jeśli zaś banki te w tak naprawdę ciężkich czasach zupełnie prawie zamykają kasy, cofają lub restryngują stare kredyty, a nowych wcale nie udzielają — to takie postępowanie musi wprost wywoływać panikę, absolutnie zaś nie jest zdolne do jej uśmierzenia. Daleko widząca polityka bankowa nie narzuca się w czasie wielkiej obfitości kapitałów klienteli swej z kredytami, aby kredyty te natychmiast wycofać, gdy czasy się zmienią. Przeciwnie, polityka taka nakazuje właśnie w czasie obfitości szafować kredytami z pewnem umiarkowaniem, aby potem, gdy inne źródła kredytu wyschną, mieć możność pospieszenia z pomocą zagrożonym placówkom gospodarczym“.

Tak pisze dziś ta sama „Neue Fr. Presse“, która dotychczas nie miała ani słowa nagany dla restrykcyjnej polityki wielkich banków austryackich. Szkoda wielka, że dopiero dziś odkryła ona wadliwość i niedorzeczność ich polityki, dziś, gdy spowodowała ona już nie dające się powetować szkody, gdy na ratowanie wielu egzystencyi, przez tę politykę zrujnowanych, już za późno, i gdy najgroźniejsza faza przesilenia, jak się zdaje, zbliża się już ku końcowi. Dziś to nagłe „ocknienie się“ wiedeńskiego organu wielkich finansistów nie na wiele się przyda. Lecz może wreszcie w pewnych kołach zrodziła się obawa, że tę politykę finansową miarodajnych czynników Austryi w ciężkim roku 1912 — historya osądzi bardzo ostro, że stanowić ona będzie w dziejach rozwoju gospodarczego państw Europy jedną z kart może najciemniejszych!

Wskazówki eksportowe.

Sytuacya handlowa w Egipcie. Z galicyjskiego Instytutu eksportowego donoszą nam: Polityczne wypadki, jakie się na terenie wojny bałkańskiej niedaleko Egiptu rozgrywają, nie przyczyniły się do korzystnego ukształtowania się stosunków handlowych w Egipcie. Już od początku wojny daje się spostrzegać w niektórych gałęziach importu wielka rezerwa. W tem nie odróżniają się targi egipskie od innych europejskich, na które wojna bałkańska również niekorzystny wpływ wywarła. Wewnątrz kraju objawia się, dzięki akcyi banków, tendencya do sanacyi stosunków, której wyrazem jest konsolidacya życia ekonomicznego i handlowego. Konsolidacya ta postępuje szybkiem tempem i ogarnia kraj coraz szerszymi kręgami. Zdrowy i celowy ten kierunek przyczyni się w wysokim stopniu do utrwalenia i ustalenia chwiejnych i niepewnych dotąd w Egipcie stosunków.

Upadłości w Rumunii. Galicyjski Instytut eksportowy we Lwowie jest w posiadaniu spisu całego szeregu firm rumuńskich, które wskutek przykrej sytuacyi finansowej upadły, lub zgłosiły niewypłacalność w ostatnich czasach. Interesenci mogą wglądnąć we wspomnianą listę w biurze wspomnianego Instytutu (Lwów, Akademicka 17, III p.) w godzinach urzędowych (od 9 do 1 i od 4 do 7).

Obniżenie cen żelaziwa kolejowego. Centralny Związek galicyjskiego przemysłu fabrycznego interweniuje przy pomocy ministerstwa galicyjskiego w ministerstwie kolei w sprawie obniżenia cen za żelaziwo kolejowe. Istnieją wszelkie szanse, że ministerstwo w interesie galicyjskiego przemysłu maszynowego do żądania Związku się przychyli.

Rekordowa kampania cukrowa w Austryi. Rozmiary tegorocznej austryackiej produkcyi cukru wykazują dobitnie następujące cyfry, podane przez organ kartelu cukrowego. Otóż w listopadzie r. b. było w Austryi w ruchu jeszcze 165 cukrowni — w roku zeszłym tylko 71; produkcya cukru surowego wynosiła w tym miesiącu r. b. 6·3 mil. c. metr. — w r. zeszłym tylko 4·6 mil. c. m., w całej zaś tegorocznej kampanii 11·6 mil. c. m. — w roku zeszłym w tym samym czasie tylko 8·4 mil. Wywóz cukru z Austryi wynosił w tegorocznej kampanii 2·54 mil. c. m. — w tym samym czasie roku zeszłego tylko 1·54 mil. c. m. Tak samo podniosła się konsumcya wewnętrzna, która dotychczas dosięgła 1·876 mil. c. m., wobec 1·47 mil. w roku zeszłym. Z powodu tak znacznego podniesienia się wywozu i konsumcyi wewnętrznej są też tegoroczne zapasy cukru tylko o 1·4 mil. c. m. wyższe, niż były w tym samym czasie roku zeszłego, w końcu listopada r. b. wynosiły bowiem 7·78 mil. c. m., wobec 6·38 mil. c. m. w tym samym czasie roku zeszłego.



DROBNE OGŁOSZENIA

po 6 halerzy za wyraz, wyrazy tłustemi czcionkami liczą się podwójne. Najmniejsze ogłoszenie 60 halerzy. Należytość za drobne ogłoszenia można nadsyłać w znaczkach pocztowych.

Wolne mieszkania

Sklep w centrum miasta tanio do wynajęcia. Wiadomość w Adm. „Gazety Wieczornej". (x)

2 pokoje kawalerskie, pokój i kuchnia, pokój kawalerski z meblami lub bez Hausnera 7. 5.42

Kupno i sprzedaż

Rydze

Wysyłam grzyby ładne wybrane 7 k. za 1 klg., Rydze marynowane 5 klg. z beczułką za 4 k. 50 h., Rydze kiszone 5 klg. z beczułką za 4 k., kapustę kiszoną 5 klg. z beczułką za k. 3·50, ogórki kwaszone 5 klg. z beczułką za k. 2·50, masła 1 klg. za k 2·70, w przesyłkach co najmniej 4-o klg., bryndza z połonin 5 klg. za k. 6·50, powidła 5 klg. z beczułką k. 4, Jabłka szczytynki 5 klg. za 2 k. gruszki kaizerki „Ka serbirnen" 5 klg. za 3 k. Jabłka krajane, suszone bez dymu 5 klg. za k. 3·50. Śliwki suszone, dobre, słodkie 5 klg. za 4 k, orzechy papierówki 5 klg. za 4 k, mąka kukurudziana domowa 5 klg. za k. 2·60. Prócz tego sukna ciemne, jasne, czarne, białe, czerwone, szerokości 60 cm. po kor. 2·40 za 1 mtr. Wysyła pocztą opłacone **L. Stummer, kupiec w Kossowie.**

Pianina piękne sprzedaję od 450 K. 3-go Maja 5. Cukiernia. 5737

100

lat istniejący **handel win** i restauracya pod „Złotą gruszką" Jana Ludwiga poleca **wina, likiery i inne trunki** w wielkim wyborze. 5715
Lwów, Krakowska 7.

Pianino, przepyszne tony, piękny model zagraniczny sprzedaję — **bo muszę!** Ruska 3. 5720

Posady i prace

Doktor praw, obeznany z manipulacyą biurową, korespondencyą niemiecką i polską, przyjmie zajęcie popołudniowe od 1. stycznia. Zgłoszenia: Doktor L. poste-restante Lwów. 5740

Nauka i wychowanie

STENOGRAFII niemieckiej oraz konwersacyi niemieckiej wyucza szybko i dokładnie rutynowana nauczycielka we Lwowie, ul. Chmielowskiego 2, parter prawy. 5744

Lekcye konwersacyi, literatury niemieckiej udziela rodowita Niemka. Dochodzi również do domów. Honoraryum umiarkowane. S. B. restante Lwów. 5741

Doniesienia rozmaite

WŁADYSŁAW SZAYNOK

Rządownie upoważniony inżynier budowy maszyn i budowli fabrycznych

w RZESZOWIE

Do zakresu działania należy: Projektowanie zakładów przemysłowych, oraz opracowywanie rachunków rentowności. Zastępstwo interesów kupującego przy zawieraniu umów o dostawy maszynowe, oraz interwencya przy odbiorze tych robót. Nadzór nad budową zakładów przemysłowych. Wydawanie orzeczeń w sprawach przemysłowych, oraz wykonywanie pomiarów sprawności motorów, palenisk i urządzeń fabrycznych. 2785

W ostatnich czasach pojawiła się w handlach czekolada z niemieckiej fabryki z polską nazwą „Hanusia". Ponieważ tak nazwa, jak i opakowanie, podobne są do wyrabianej przezemnie, tak powszechnie ulubionej czekolady

„DANUSIA"

przeto, chcąc uchronić P. T. Publiczność przed możliwemi pomyłkami, pozwalam sobie zwrócić na fakt ten uwagę i proszę o łaskawe żądanie za wsze wyraźnie tylko czekolady

„DANUSIA"

z polskiej fabryki A. Piaseckiego w Krakowie. 3666

Na Gwiazdkę!

SREBRO chińskie i prawdziwe kompletne kasety poleca 4015

M. Jakubowski
LWÓW
Hotel George'a.

Tapicer-Dekorator przyjmuje wszelkie roboty tapicerskie, dekoracyjne i tapetowania w miejscu i na prowincyi. 5666
Kazimierz HAUSER
Romanowicza 11.

KROJE gotowe francuskie z żurnalu „Parisiana" i manekiny 3410
R. LANDAU
Lwów
Czarneckiego 3.

TRYUMF! Najidealniejszy proszek do mycia i pielęgnowania włosów blond i ciemnych oddzielnie. 3551

Proszek Tryumf wszędzie do nabycia.
Cena 30 hal.
Apteka pod „Białym Orłem",
Kraków, Rynek gł. 45.

„OLLA"
jest dowodnie najlepszą hygieniczną specyalnością **GUMOWĄ**
pełna gwarancya. Wszędzie do nabycia. Cenniki darmo wysyła „OLLA" Fabryka gumy Wiedeń II, Praterstrasse 57. 931

WYŚMIENITE
Mydło boraksowe
IHNATOWICZA
Cena 50 hal.

Krój i szycie
syst. Schacka
PAULINA BEALIŃSKA
Lwów, Romanowicza 9
3878 Tel. 1802

Publiczne Gimnazyum prywatne i pensyonat Franciszka Scholza
3931 **Graz, Grazbachgasse 39.**
1—8 klas, rządowo zatwierdzone świadectwa maturalne, pensyonat znakomity, dom własny, ceny przyst.

Najpiękniejsze upominki na **„Gwiazdkę"!!**
Torby, walizki, kufry, Kasety, Necessairy, Pledy, Pudła na kapelusze, Pugilaresy, Portfele, Papierośnice w wielkim wyborze poleca: **„Foka"** specyalny magazyn wyrobów skórzanych i przyborów do podróży — Lwów, plac Maryacki 3.
Proszę oglądać bez obowiązku kupna. 4100

Ces. król. uprzywil.

Galicyjski Akcyjny Bank Hipoteczny we Lwowie

FILIE: w Krakowie, w Czerniowcach, w Tarnopolu.

Kapitał akcyjny 20,000.000 kor.
Rezerwy 10,300.000 koron
Listy hipoteczne 209,000.000 kor.

Ekspozytury: w Stanisławowie, w Podwołoczyskach, w Nowosielicy

Kantor wymiany

Kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe i monety
— po najdokładniejszym kursie dziennym, nie licząc żadnej prowizyi. —

Zlecenia giełdowe
uskutecznia się pod najprzystępniejszymi warunkami i udziela wszelkich informacyi co do pewnej i korzystnej

Lokacyi Kapitałów.

Wszelkie kupony i wylosowane papiery wartościowe wypłaca się bez potrącenia prowizyi i kosztów.

Bezpłatne przeglądanie numerów losów i innych papierów podlegających losowaniu.

Ubezpieczenie losów przed stratą z powodu wylosowania.

Oddział depozytowy
przyjmuje wkładki na rachunek bieżący od k. 500 począwszy, oprocentowuje takowe po 4½ od sta, wydaje na wkładki
książeczki.
Kwoty do 5000 koron wypłaca bez wypowiedzenia.

WYNAJMUJE ZA OPŁATĄ KWARTALNĄ, PÓŁROCZNĄ LUB ROCZNĄ

Schowki depozytowe (Safe deposits)

2014 w kasach stalowo pancernych do wyłącznego użytku depozytaryusza pod własnym jego kluczem, gdzie — bezpiecznie i dyskretnie przechowywać można papiery wartościowe, dokumenta i kosztowności. —

DOM SPEDYCYJNY ZAŁOŻONY W R. 1838 2182

H. MENDELSOHN

KRAKÓW, DWORZEC KOL. TEL. NR. 86.

Bogumin (Oderberg) dworzec Kol. Telefon nr. 10. Oświęcim, dworzec K. tel. 54. Szczakowa, dworzec Kolejowy. Tel. 4.

Odprawa cłowa przesyłek zagranicznych. Wozy meblowe. — Transporty międzynarodowe po cenach ryczałtowych.

BIURA SPEDYCYJNE C. K. KOLEI PANSTW. (KOLEI PÓŁNOCNEJ).

+OLLA+

najlepsze hygieniczne specyalności

gumowe.

2-letnia gwarancya.

Skład specyalny Pharm. Mag. Jakób Rechen, Lwów, ul. Halicka l. 18.

FIGOL „Jahr“

naturalny, nader przyjemny, środek przeczyszczający.

Ten nieszkodliwy, dobrze i pewnie działający środek przeczyszczający, jest to syrup sporządzony z miąszu fig smyrneńskich z odpowiednim dodatkiem płynnego wyciągu strączków senesowych. FIGOL „Jahr“ jest słodki, nader przyjemny w użyciu, **działa jako środek lekkoprzeczyszczający, łagodnie, nie sprawia żadnych bolów** i z powodu tych zalet cieszy się od wielu lat wzięciem u lekarzy i publiczności. Stosowany z dobrym skutkiem przy zaparciu nawykowem stolca, kongestyach, hemorrhoidach, cierpieniach żołądkowych i wątroby, wogóle czyści wszystkie narządy trawienia i wzmaga ich czynności. **Dawkowanie:** Dorosłym pół do półtora łyżek stołowych, dzieciom pół do półtora łyżeczek kawowych. FIGOL „Jahr“ jest prawnie zastrzeżony i wyrabia go wyłącznie apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie. Przy zakupnie prosimy wyraźnie żądać FIGOL „Jahra“ i odrzucać naśladownictwa. **Cena: duża flaszka K 2·70, mała flaszka K 1·80.**

„Jahra“ Menthosalan najskuteczniejsze nacieranie przy reumatyzmie, łamaniu w kościach, podagrze, nerwobólach, migrenie, kłóciu w bokach. Cena tuby K 1·20, pocztą K 1·65. Skład we wszystkich aptekach lub w składzie głównym Apteka Fort. Gralewskiego, Kraków, Sławkowska 1a. 3786

KINO KOPERNIK

zwane Sans-Rival

ul. Kopernika 9

Program od 20 do 27 grudnia:

Sep, *wzruszający dramat w 3 aktach.* — Indye. — Kąpiel królowej, *wesoła komedya* — i inne wesołe obrazy. 4162

3 prc. T. S. L. 2 prc. Bursa Batorego.

Wotanówka

z drutu ciągnionego jest najekonomiczniejsza

GALICYJSKA SIEMENS-SCHUCKERTOWSKA

SPÓŁKA Z OGR. POR.

LWÓW UL. BATOREGO 32 — KRAKÓW UL. GRODZKA 58

4174

Unia Galicyjska

dla wyrobów żelaznych i budowy mostów

w STANISŁAWOWIE

Spółka z ogran. odpowiedzialnością

Biura i zarząd: Stanisławów, ul. Sobieskiego l. 28

Telefon Nr. 333

Fabryka w KNIHININIE-WSI

Telefon Nr. 125.

I. Dział Konstrukcyjny:

Budowa mostów żelaznych, konstrukcye dachowe, świetlniki, perony kolejowe, ganki, werandy, pawilony, oranżerye, krzyże wieżowe, słupy nitowane, kioski, schody żelazne, okna patentu „Meteor“, drzwi żelazne i bramy dla fabryk, ogrodzenia kute i siatkowe. Wyroby k... wchodzące w zakres artystycznego ślusarstwa d... robót budowlanych i architektonicznych, roboty ślusarskie zwykłe, wózki dla kolejek wązkotorowych etc. etc.

II. Warsztat reparacyjny maszyn wszelkiego rodzaju.

Kotlarnia urządzona do maszynowego nitowania, wyrabia zbiorniki na ropę, spirytus, benzynę, wodę, cysterny i roboty w zakres kotlarstwa wchodzące. **Specyalność: Naprawy i przeróbki wszelkich przedsiębiorstw przemysłowych:** gorzelń, browarów, tartaków, młynów, rafineryi spirytusu i nafty etc. **Transmisye według najnowszych typów po cenach konkurencyjnych.**

III. Wyrób narzędzi.

Wyrób wszelkich narzędzi kowalskich, ślusarskich i gospodarczych, a to: młotów, młotków, ryskali, siekier, kluczy niemieckich, motyk, kilofów, plewników, grabek ogrodowych etc. etc.

IV. Odlewnia żelaza.

Odlewy podług własnych i nadesłanych modeli po cenach najprzystępniejszych. 2162

Oferty i kosztorysy bezpłatne. — Ceny konkurencyjne.

FABRYKA MASZYN mleczarskich i cynowarnia oraz Biuro techniczno-mleczarskie

Józef Dobrzyński

Kraków, Rynek kleparski 5.

Dostarcza kompletnych urządzeń mleczarń, maślarń, obór i t. d.

3665

Pierwszy i najstarszy skład w kraju



maszyn do szycia i haftu,

krawieckich i szewskich, oraz do wyrobów pończoszkowych i trykotowych.

KURS HAFTU BEZPŁATNIE.

Agentami się nie posługuje.

Przyjmuje do naprawy maszyny do szycia wszelkich systemów.

JÓZEF IWANICKI

mechanik specyalista

w Krakowie: Hotel Pollera, ul. Szpitalna l. 32.

CENNIKI DARMO I OPŁATNIE. 4157

Lwów, ul. Akademicka l. 2.

Nowość! Sensacya 1912 Nowość!

D. R. G. M. Nr. 526.081

: Noworoczne dowcipne powinszowania :

w niespotykanych dotąd rodzajach. Każde powinszowanie jest szlagierem pełnym senzacyi i humoru. Każda, choćby najmniejsza przesyłka, jest dobrze sortowana, każda karta w kopercie. — **Tylko my mamy wyłączną sprzedaż, zastępcy wszędzie poszukiwani.**

10	oryginalnych kart za uprz. nadesłaniem	K 0·75
25	„ „ „ „	K 1·—
50	„ „ „ „	K 1·75
100	„ „ „ „	K 3·—

Za powziątkiem o 40 h. drożej. — Znaczki pocztowe wszystkich krajów przyjmujemy jako gotówkę.

Habighorst & Co Bochum w W. Skrytka pocztowa 149. 3905

RUTYNOWANY

Buchalter-bilansista

zdolny korespondent polsko-niemiecki, energiczny organizator z chlubnemi świadectwa i dłuższą praktyką w kraju i zagranicą, poszukuje posady od 1. stycznia 1913.

Łaskawe zgłoszenia pod L. M. 32 do Biura ogłoszeń Sokołowskiego, Lwów ul. Jagiellońska. 4177

Anatomiczne muzeum Trabera

plac Zbożowy, ul. Słoneczna

Otwarte od 9 rano do 8 wieczorem. Ceny zniżone.

Wstęp 30 h. Studenci i wojskowi 20 h. 4179

Okazyjna Gwiazdkowa sprzedaż 4050

najtańszych a praktycznych upominków towarów mód męskich i damskich

poleca **Magazyn „Imperial“** Lwów, pl. Maryacki 3

Proszę oglądać bez obowiązku kupna.

Bajecznie tanio! Bajecznie tanio!

TERENY NAFTOWE

UDZIAŁY W KOPALNIACH PROCENTY BRUTTO

W SCHODNICY

do nabycia w biurze naftowem A. GOSTKOWSKIEGO Lwów, Pasaż Hausmana l. 1.

4049

Ostatni miesiąc! Sprzedaż okazyjna

towarów mód męskich i damskich

w magazynie „Imperial“

Lwów, plac Maryacki 3.

Proszę oglądać bez obowiązku kupna. — Bajecznie tanio.

BAJECZNIE TANIO.

Fabryka wagonów i maszyn W SANOKU

wykonywa

a) W DZIALE WAGONOWYM:

Wagony osobowe i towarowe wszelkich typów dla kolei normalno- i wązkotorowych. Specyalne wagony kolejowe do przewozu mięsa, piwa itp. Cysterny do przewozu nafty, spirytusu, teru, kwasów itp. Wozy dla tramwai elektrycznych i konnych. Wózki dla kolejek polowych, leśnych, górniczych, do przewozu szutru, ziemi, buraków, drzewa i płodów górniczych.

b) W DZIALE MASZYNOWYM:

Narzędzia wiertnicze: kompletne rygi, świdry, nożyce, obciążniki, sztangi ratunkowe, końce do sztang itd. Maszyny parowe do różnych celów. Pompy wszelkich systemów do wody, ropy, solanki itp. Kompletne urządzenia gorzelń, browarów i rafineryi spirytusu, aparaty ciągłe i peryodyczne, Aparaty do pasteryzowania piwa we flaszkach. Transmisye kompletne dla tartaków, młynów itp. Sikawki najnowszego systemu dla miast i gmin wiejskich. Kotły parowe wszystkich typów. Kotły lokomobilowe do celów wiertniczych. Zbiorniki na ropę, wodę, spirytus, benzynę itp. Zbiorniki na gaz (gazometry), czyszczalniki, retorty i inne aparaty dla gazowni. Mosty żelazne. Konstrukcye żelazne dachów, hale targowe, schody żelazne, baraki, obrotnice. Odlewy żelazne do wagi 5000 kg. Armatury paleniskowe, ruszty, walce drogowe, koła pasowe, zamachowe i zębate, słupy latarniane, ramy do okien itp. Pogłębiarki suche i pływające (bagry). Żurawie parowe i ręczne wszelkich typów. Rury żelazne, lane, mufowe, gazowe i wodociągowe oraz wszelkie sztuki fasonowe. 3539

KARCZOWNIKI patentowane systemu Prof. Malsburga.

BANK PRZEMYSŁOWY

dla Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielk. Ks. Krakowskiem

Zakład główny we Lwowie, ul. 3. Maja l. 19. Tel. 613 i 1589. Filia w Krakowie, Rynek główny l. 15. Telefon 92.

Kapitał akcyjny 10,000.000 K.

Wkładki na książeczki na rachunek bieżący

za oprocentowaniem dziennem. Wypłata do 5000 koron bez wypowiedzenia. Podatek rentowy opłaca Bank z własnych funduszów. — Na prowincyę wysyła się czeki, umożliwiające wpłatę w każdym urzędzie pocztowym.

Korzystne kupno i sprzedaż papierów wartościowych, dewiz, losów, walut i monet. — Wadya i kaucye także we własnych listach gwarancyjnych. — Kredyt podatkowy i cłowy. Eskont i inkaso weksli. — Pożyczki hipoteczne na przedsiębiorstwa przemysłowe. — Przekazy i listy kredytowe na miejsca kąpielowe i miasta całego świata.

Jako korzystną i pewną LOKACYĘ kapitałów polecamy pupilarne bezpieczeństwo, mające obligacye 4-prc. pożyczki Król. stoł. m. Lwowa z r. 1911, które sprzedajemy po kursie dziennym.

2239 GODZINY KASOWE OD 9 do 4 BEZ PRZERWY.



Konferencya pokojowa w Londynie

uchwaliła

wielką sprzedaż okazyjną

a to:

3333 Garniturów
4444 Raglanów
1111 Paltotów

wszystko od kor. 30·—

oraz **7777** Krawatów po 1 kor.

Do nabycia u 4152

:: LUDWIKA MARKA ::
Lwów, 3-go Maja 11.

Wieś Ilustrowana

najpiękniejsza, najobfitsza, najozdobniej wydawana ilustracya polska

PRZEDSTAWIAJĄCA ŻYCIE POLSKIEJ WSI WE WSZYSTKICH DZIELNICACH POLSKIEJ ZIEMI — ZACZYNA 4-ty ROK ISTNIENIA.

Wychodzi w pierwszych dniach każdego miesiąca, drukowana w znanych zakładach Firmy „B. Wierzbicki i Ska“. — Każdy zeszyt w pięknej co miesiąc innej kolorowej okładce zawiera około stu ilustracyi i około 4000 wierszy tekstu prócz informacyi i ogłoszeń. — NA TREŚĆ SKŁADAJĄ SIĘ:

Artykuły treści ogólnej i specyalnej; Monografie historyczne; powieści i nowele znanych autorów; utwory poetyckie piór pierwszorzędnych; Opowiadania, impresye, obrazki myśliwskie i sportowe; dział krytyki literackiej; dział sztuki; sprawozdania z ruchu rolniczego i życia wiejskiego; ilustrowane opisy typowych dworów polskich; obszerny dział informacyi rolniczych, wystaw, pokazów hodowli, przemysłu i handlu rolniczego; dział życia kobiecego; dział mody.

We wszystkich tych działach redakcya „WSI ILUSTROWANEJ“ pozyskała sobie współpracownictwo najwybitniejszych polskich sił literackich, publicystycznych i fachowych i łaskawy współudział licznych ziemian ze wszystkich okolic kraju. Po 3-ch latach istnienia i uznania w szerokich kołach ziemiańskich wprowadza wydawnictwo „WSI ILUSTROWANEJ“ nowe ulepszenia: zwiększa treść, podnosi estetykę formy a mianowicie:

Dodaje co miesiąc SPECYALNY DZIAŁ OGRODNICTWA (sad, ogród warzywny, hodowla nasion i sadzonek, kwietnictwo, ogrody parkowe) pod kierunkiem głośnego i zasłużonego specyalisty p. EDMUNDA JANKOWSKIEGO.

Wprowadza SPECYALNY DZIAŁ SZTUKI w opracowaniu wybitnych artystów z dodatkiem ARTYSTYCZNYCH WIELOBARWNYCH REPRODUKCYI.

Powiększa dział artystyczny dając ilustrowane opisy wszystkich znanych w naszych dziejach miejscowości oraz drukując szereg wybitnych prac jak studya „KRESOWE SZLAKI“ i „KORONIARZE“, rozszerza dział mody (artystycznie ilustrowany) i DZIAŁ ROLNICZY wprowadzając duże stałe rubryki: a) Wytyczne krajowej produkcyi i b) Rezultaty krajowej gospodarki rolniczej.

Nadto wprowadzając najlepsze postępowe ulepszenia techniki graficznej od 1-go stycznia drukować się będzie „WIEŚ ILUSTROWANA“ nowemi na specyalne zamówienie podług artystycznych rysunków odlanemi ELZEWIROWSKIEMI CZCIONKAMI przyczem dawać będzie barwiste kombinacye klisz z ilustracyami.

PRENUMERATĘ BEZ ZMIANY: 4151

	w miejscu	na prowincyi	za granicą	w Ameryce
rocznie	rb 9·—	10·—	12·—	14·—
półrocz.	„ 4·50	5·—	6·—	7·—
ćwierćrocz.	2·25	2·25	3·—	3·50

przyjmuje ADMINISTRACYA WŁASNA UL. HOŻA Nr. 47 (telefon 116—99) oraz wszystkie księgarnie i kantory prasowe w Warszawie, na prowincyi i zagranicą.



J. F. Fiorkiewicz

przez Wys. c. k. Namiestnictwo konces.

BIURO BUCHALTERYJNE I HANDLOWE

Lwów, Chorążczyzny 18, Tel. 569

sporządza

Bilanse ::: Inwentarze ::: Rozliczenia

wszelkie prace w zakres rachunkowości i rewizyi wchodzące, ściśle, sumiennie, dyskretnie i punktualnie. 4021

!! Gdzie mieszkać i jadać należy w Galicyi !!

Pismem kieruje KOMITET REDAKCYJNY. Redaktor naczelny: Dr. ROGER BATTAGLIA. Odpowiedzialny redaktor: JERZY KONARSKI.
Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazety Wieczornej“. Drukiem Spółki drukarskiej „Prasa“, ul. Sokoła l. 4.